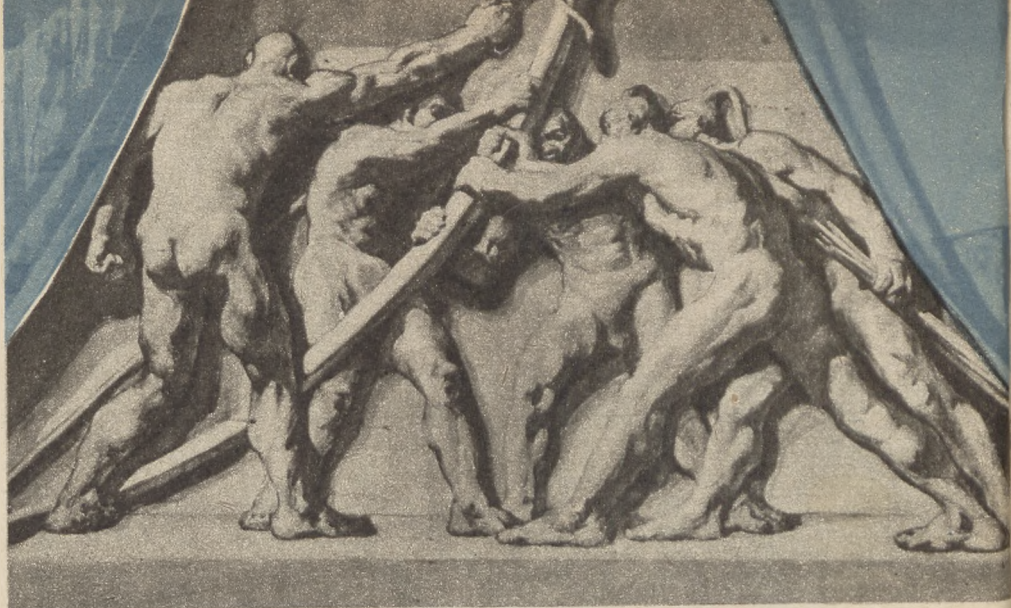




KIEDY SŁOŃCE PRZYGRZEJE
znacznie przyjemniej wraca się ze szkoły do domu przez wiosenną Warszawę...

Fot. „Swiat” — J. Kosidowski

SWIAT NASZA KRONIKA



„Solidarność” — jedno z malowideł ściennych, zdobiących salę Pałacu Narodów, w której toczą się obrady konferencji genewskiej. Malował Jose-Maria Sert

D IEN BIEN FU padło. Wielka bitwa między siłami kolonizatorów i siłami ludowymi została rozstrzygnięta. Jak zwracają uwagę zachodni komentatorzy, znaczenie tej bitwy polega na tym, że nie chodzi o jakąś zasadzkę, którą partyzanci zgutować mieli wojskom francuskim. Przeciwnie, bitwa o Dien Bien Fu była bitwą wydaną przez dowództwo francuskie. Została ona stoczona w miejscu wybranym przez to dowództwo i w warunkach przez nie określonych. Jeszcze przed paroma tygodniami francuski minister wojny Plevin wymawiał nazwę Dien Bien Fu jako zapowiedź wielkiej klęski, przygotowywanej dla ludowej armii wietnamskiej.

Rzeczywiście była klęska. Rzeczywiście pod Dien Bien Fu. Tylko klęska francuskiego korpusu ekspedycyjnego.

Przy okazji krwawych walk o fortecę w Wietnamie jedno z pism francuskich obliczyło, jakie straty w wyszkolonych oficerach ponosi Francja w wojnie wietnamskiej. Otóż przez pewien czas ginęło w tej wojnie rocznie tyle oficerów, ile rocznie wypuszczają francuskie szkoły oficerskie nowych elewów. Ostatnio straty przewyższyły przyrost kadr: w przeciągu dwóch lat w Wietnamie ginie tylu oficerów, ile szkół oficerskie we Francji wypuszczają w przeciągu lat trzech. Jednym słowem stosunek już wynosi dwa do trzech na korzyść śmierci, na niekorzyść armii francuskiej, na niekorzyść narodu francuskiego.

Tym sposobem politycy amerykańscy załatwiają sobie dwie sprawy za jednym zamachem. Francuzi trzymają Indochiny dla imperializmu. Ostatnio wielkie oburzenie wśród narodów Azji wywołała wypowiedź pewnego polityka amerykańskiego, który mówił, iż rozejm w Wietnamie oznaczać może, iż „utracimy Indochiny”. Wolna opinia azjatycka oburzyła się na to sformułowanie, z którego wynika, iż Amerykanie mają Indochiny. No więc jednak w pewien sposób rzeczywiście trzymają je przy pomocy Francuzów.

Z drugiej strony wykrwawianie się Francji w dalekich rejonach południowo-wschodniej Azji osłabia Francję w Europie i oddaje Francję coraz bardziej w łapy amerykańskich imperialistów, a tym samym uzależnia ją od zachodnio-niemieckich odwetowców. Powiedzieć można, iż w skrócie sytuacja wygląda tak: żołnierze i oficerowie francuscy przelewający krew w Dien Bien Fu w niesprawiedliwej i daremnej walce z Wietnamczykami odsłaniają Strassburg, Metz a może i Paryż przed najgorszymi i prawdziwymi wrogami Francji, jakimi są Niemcy odwetowcy.

Polityka panów Bidaultów, Lanielów i Plevinów przypomina żywo politykę Napoleona III, który wysłał wojska francuskie do dalekiego Meksyku, by tam instalowały cesarza, a osłabiał Francję wobec szykującego się ataku od strony Prus. Ta polityka skończyła się wówczas Sedanem. Dien Bien Fu stanowi nowe ostrzeżenie dla rządzących Francją. Genewa stanowi wielką okazję zaprzestania wojny, prowadzonej w istocie zarówno prze-

ciw Wietnamowi jak i przeciw Francji, a w interesie imperialistów amerykańsko-niemieckich.

N IE należy tu się peszyć faktem, że Laniel otrzymał jakąś tam nędzną większość w parlamencie. Nie ma jej na pewno w narodzie. Siły pokoju we Francji i we Włoszech są na pewno w większości, choć tego nie znać we wszystkich decyzjach parlamentów. Ale je widać w życiu.

Ot na przykład taki mer Florencji. Nie komunista i nie socjalista. Po prostu chadek z partii De Gasperiego i Scelby. Ogłosił ostatnio rewelacyjny list otwarty, obciążający winą za dalszy rozwój sytuacji społecznej w tym mieście fabrykantów, zamykających swoje zakłady. Mer Florencji staje wyraźnie po stronie robotników, gdyż nie chce utracić związku z narodem, nie chce utracić popularności.

Historia florencka jest, niezwykle symptomatyczna dla rozwoju sytuacji na zachodzie Europy. Nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do tych głosowań parlamentarnych. No cóż, burżuazja jest jeszcze dość silna, żeby sobie taką małą większość z wielkim trudem jeszcze sprawić. Ale z sił opada coraz bardziej.

S PRAWA sprzeczności, zrozumienia, gdzie one są zasadnicze, a gdzie pozorne, to sprawy niezwykle ważne. Mówiło się o sprzecznościach i u nas niedawno na Kongresie Związków Zawodowych. Podstawą rozwoju działalności związków zawodowych w naszych warunkach jest przezwyciężenie jak najbardziej mylnego poglądu, iż w naszym ustroju istnieje jakakolwiek prawdziwa, a nie urojona, sprzeczność między sprawą produkcji i sprawą podniesienia stopy życiowej i warunków bytu i pracy robotników. Jak najbardziej mylny i obcy nam jest pogląd, że dbałość o rozwój produkcji wyklucza dbałość o bezpieczeństwo i higienę pracy, o przestrzeganie ustawodawstwa pracy, o zaopatrzenie robotników, o ich warunki mieszkaniowe i rozrywki kulturalne.

Przeciwnie, istnieje prosta zależność między tymi dwiema sprawami: im lepsze bezpieczeństwo i higiena pracy, im lepsze przestrzeganie ustawodawstwa pracy, im lepsze zaopatrzenie robotników, im wyższy ich rozwój kulturalny — tym lepiej rozwija się produkcja, tym lepiej rozwija się współzawodnictwo, tym bardziej rośnie wydajność, tym lepiej używa się maszyn i wszelkich urządzeń.

Gdyby istniała sprzeczność między sprawami człowieka i produkcją, mówiłoby to o jakiejś wewnętrznej sprzeczności socjalizmu. A przecież socjalizm właśnie wiąże produkcję ze sprawą człowieka. Związki zawodowe zostały zmobilizowane do wielkiej walki, którą muszą zwycięsko stoczyć (i u nas toczą się walki, ale jakże inne, niż w tamtym świecie!), walki o dalszy rozwój swojej roli jako najbardziej masowej organizacji klasy robotniczej w państwie ludowym, mającej pod kierunkiem partii do spełnienia olbrzymie zadania.

JAN SZELĄG

NIEODWRACALNE PRZEMIANY

STEFAN ARSKI

Korespondencja własna „Swiata” z Genewy

D ZIALA pod Dien Bien Fu milczały już od 24 godzin, gdy konferencja genewska rozpoczęła obrady nad sprawą Indochin.

Jeszcze w ostatniej chwili krew i cierpienia rannych z Dien Bien Fu próbowano wygrać jako kapitał polityczny. Delegacja francuska uknęła nieudolną intrygę, usiłując obarczyć delegację radziecką i chińską odpowiedzialnością za to, że nie doszło do krótkotrwałej przerwy w działaniach wojennych, która by umożliwiła ewakuację rannych i chorych z oblężonej twierdzy. Intryga była głupia i miała tak krótkie nogi, jak pospolite kłamstwo. Została zdemaskowana przez stronę radziecką i chińską. Przy sposobności zaś okazało się, że to delegacja francuska odwlekała termin rozpoczęcia debaty genewskiej, a tym samym przekreśliła możliwość ewakuacji rannych. Delegacja chińska proponowała bowiem, by na pierwszym posiedzeniu w sprawie indochińskiej rozpocząć rokowania na ten temat, ale p. Bidault nie chodziło wcale o rannych i chorych, lecz o coś zupełnie innego. Dziennikarze francuscy w Genewie nie ukrywali swego oburzenia, gdy mówili o tym, jak p. Bidault przy pomocy tej intrygi przysporzył kilka głosów gabinetowi p. Lanieli podczas zeszłotygodniowego głosowania w parlamencie francuskim. Sprawa nie była bowiem jeszcze wtedy do końca wyjaśniona. Upadek Dien Bien Fu przekreślił ją ostatecznie.

Pod znakiem największej katastrofy militarnej, jaka spotkała francuski korpus ekspedycyjny w Indochinach od czasu rozpetania „brudnej wojny”, rozpoczęła się tedy w Genewie druga faza obrad konferencji, poświęcona problemowi indochińskiemu. Naród francuski czekał tej chwili z gorączkową niecierpliwością, otwierała ona bowiem przed

nim perspektywę położenia kresu nieszczęsnej wojnie, która pochłonęła tyle istnień ludzkich i kosztowała Francję tak wiele. Od czasu, gdy w Berlinie zapadła uchwała zwołania konferencji genewskiej, cała Francja żyła nadzieją, że Genewa przyniesie jej wreszcie upragniony pokój w Wietnamie i nie było we Francji polityka, który odważyłby się jawnie wypowiedzieć przeciw tym pragnieniom. Także więc i pan Laniel, stawiając w dniu 7 maja kwestię zaufania w parlamencie, nie omieszkął zapewnić Izby, iż dążyć będzie do jak najszybszego przerwania działań wojennych w Wietnamie. Tymczasem nie nie zdaje się wskazywać na to, by dyplomacja francuska w Genewie istotnie zamierzała spełnić obietnice swego premiera.

Intryga p. Bidault, osnuta wokół sprawy rannych spod Dien Bien Fu, jest nie tylko nikczemna sama w sobie. Jest także wiernym obrazem metod postępowania szefa francuskiej delegacji. Podwójna gra — to jej najistotniejsza cecha. Przedstawiciel kraju, który jest najbardziej zainteresowany w pomyślnym przebiegu genewskich rokowań, był przecież jednym z dwóch autorów planu, który miał tę konferencję storpedować zanim się jeszcze zaczęła. To on przecież zaproponował mr. Dullesowi ów diabelski projekt zorganizowania zbrojnej interwencji anglo-amerykańskiej w Wietnamie w samą niemal wigilię rozpoczęcia obrad. To on przecież zażądał, by samoloty Anglosasów obrzuciły bombami pozycje wietnamskiej armii wyzwoleńczej pod Dien Bien Fu. Szef delegacji francuskiej nie mógł nie wiedzieć, że los twierdzy jest już przesądzony i nawet owych tysiąc samolotów, o które wołał, nie są w stanie niczego uratować.

Ale panu Bidault nie chodziło już wtedy o samo Dien Bien Fu. Chodziło mu o spowodowanie interwencji amerykańskiej.



...Jeszcze w ostatniej chwili krew i cierpienia rannych z Dien Bien Fu próbowano wygrać jako kapitał polityczny. Intrygę tę zdemaskowały delegacje radziecka i chińska



Dowództwo francuskiego korpusu ekspedycyjnego, który poniósł druzgocącą klęskę w chwili, gdy w Genewie rozpoczęły się obrady nad problemem indochińskim

kańsko-angielskiej, a więc o to, co nazywa się tu „umiędzynarodowieniem konfliktu indochińskiego“, a czego tak bardzo pragnęli jego waszyngtońscy protektorzy. Skutki tego szaleńczego planu mogły być nieobliczalne. Mr Dulles już zacierał ręce na myśl, jak szybko potrafi się potem uporać z konferencją, której tak bardzo nie chciał, a na którą musiał się zgodzić. Że prowokacja spaliła na panewce, że zamiast rozbić konferencję — doprowadziła do rozbitcia jedności mocarstw zachodnich — to na pewno nie jest zasługą ani pana Bidault, ani pana Dullesa. Rzecz jest zbyt dobrze znana, by wymagała tu szerszych wyjaśnień. Ale niesposób jej pominąć, gdy mowa o debacie indochińskiej w Genewie. Bo owa niedoszła interwencja pod Dien Bien Fu była przede wszystkim dzieckiem pana Bidault. I świadczy, jak dyplomacja francuska pojmuje swe własne zobowiązanie, zaciągnięte wobec narodu francuskiego, i jak pan Bidault pojmuje formułę „jak najszybszego doprowadzenia do rozejmu w Wietnamie“.

Pan Bidault zainicjował debatę indochińską w Genewie przedstawieniem własnego planu rozwiązania tego problemu. Być może zresztą, że nie on sam jest autorem tego planu, który niektórzy nazywają planem Laniel'a. Bardziej dociekliwi dziennikarze są zdania, że źródła sięgają jeszcze dalej — ślady wiodą pnieć do Waszyngtonu. W każdym razie po raz pierwszy dosłowna treść tego projektu dotarła do Genewy w postaci depechy „United Press“, datowanej z Waszyngtonu. Pozostawmy na uboczu ten nader zresztą interesujący problem, a zajmijmy się meritum sprawy.

Na pierwszy rzut oka stwierdzić można jedno: że ktokolwiek układał ten plan, miał na myśli wszystko, tylko nie doprowadzenie do rychłego rozejmu w Wietnamie. Pan Bidault zdaje się zapominać, że to jego żołnierze wywiesili białe chorągwie w Dien Bien Fu. I że to jego żołnierze przybyli przedtem do Dien Bien Fu i innych miast, osad i wsi w Wietnamie, Khmerze i Patet Lao, nie zaś żołnierze z Wietnamu, Khmeru i Patet Lao najechali na Francję. Dziwnie brzmiały słowa francuskiego ministra spraw zagranicznych na sali Nr 5 Pałacu Narodów w Genewie, gdy stawiał warunki przedstawicielom kraju, który od lat siedmiu bez mała broni uparcie swego prawa do niepodległości i zadaje dotkliwe ciosy kolonialnemu najeźdźcy.

A to przecież właśnie rządy Wietnamskiej Republiki Demokratycznej i rządy wyzwolenia Khmeru i Patet Lao są prawdziwymi gospodarzami tych ziem, które pan Bidault i jego mocodawcy daremnie usiłowali zagarnąć. I wbrew twierdzeniu dyplomacji francuskiej nie ma żadnej różnicy pomiędzy najazdem francuskich kolonizatorów na Wietnam a ich najazdem na Khmer czy Patet Lao. Ani pomiędzy walką wyzwoleniczą jednego czy drugiego z tych krajów.

Ale ci, którzy od początku obserwu-

ją obrady genewskie, a przedtem obserwowali obrady berlińskie, znają już argumenty p. Bidault i nauczyli się szukać ich istotnej treści głęboko pod pokrywką dyplomatycznej frazeologii. I dlatego bez trudu rozszyfrują i ten występ francuskiego ministra, który mówi o skróceniu wojny w Wietnamie — a myśli o jej przedłużeniu.

Tak samo zresztą jak jego waszyngtońscy sojusznicy; ci nie pozbiali się co prawda jeszcze po porażce doznanej u progu genewskich narad. Opinia amerykańska aż huczy od odgłosów genewskich niepowodzeń pana Dullesa. Senator Johnson nie wahał się nazwać tego, co się stało „najdotkliwszą porażką jakiej amerykańska polityka zagraniczna doznała w całej swej historii“, a obecną sytuację Stanów Zjednoczonych określił obrazowo jako „groźbę pozostania nago i samotnie pośród wrogiego świata“.

Sytuacja międzynarodowa poprawiła się znacznie — ale nie tak znacznie, jak mniema senator Johnson. Stany Zjednoczone doznały ciężkiej porażki w zakresie swej dotychczasowej polityki zagranicznej. Jedność polityczna mocarstw zachodnich została poważnie nadszarpnięta, ale nie nastąpiła jeszcze chwila, gdy koła rządzące Wielkiej Brytanii, Francji czy Włoch kierować się będą wyłącznie interesem narodowym własnych krajów, a nie waszyngtońskim dyktatem.

Niemniej przeto nacisk opinii pu-

blicznej w krajach Zachodu jest niesłychanie silny. Aplauz, z jakim opinia brytyjska powitała oświadczenie premiera Churchilla, gdy odmówił zgody na amerykańską awanturę pod Dien Bien Fu, jest bardzo wymownym świadectwem brytyjskich nastrojów. Niewątpliwie pod wpływem tej reakcji opinii publicznej wyraził Churchill w kilka dni później słowa sympatii dla narodu radzieckiego.

Ostra krytyka polityki Dullesa w Stanach Zjednoczonych świadczy, że i tamtejsza opinia publiczna jest mocno poruszona. Korespondenci prasy amerykańskiej przebywający w Genewie podkreślają, że tak gwałtownego protestu przeciwko polityce awantur międzynarodowych nie podniosło społeczeństwo amerykańskie od dawna.

Wstrząs, jakiego doznała Francja po upadku Dien Bien Fu, jeszcze bardziej pogłębił tam pragnienie pokoju i zaprzestania katastrofalnej wojny wietnamskiej. Zwłaszcza w obliczu groźby odbudowania hitlerowskiego Wehrmachtu, która nie przestaje wszak wisieć nad Francją i Europą.

Nie należy jednak sądzić, że mimo to wszystko kierownicze koła polityki amerykańskiej ustąpią bez walki i że ci, którzy nadal próbują robić ich politykę w Europie zamiast polityki swych krajów, odejdą dobrowolnie. Że tak nie jest — świadczy choćby rola i postawa pana Bidault. Nie czas więc jeszcze na przedwczesne fanfary. Sukces,

który osiągnęły, siły pokoju, wymaga utrwalenia.

Podczas pierwszej fazy obrad genewskich, w debacie nad kwestią koreańską, zabrali głos dwaj mówcy, których słowa wybiegły daleko poza gmach Pałacu Narodów. Gdy ministrowie Molotow i Czou En-lai mówili o sprawie wyzwolenia ludów kolonialnych, pewien dziennikarz amerykański — jeden z tych zresztą, którzy na codzień wielbią p. Dullesa — powiedział mi wtedy: „This is dynamite“ — „te słowa są jak dynamit“. Spojrzałem nań zdziwiony: dziennikarz ten dotąd nie przywiązywał większej wagi do słów mężów stanu obozu pokoju. — „Pan sobie chyba nie zdaje sprawy — mówił dalej — że słowa wstrząsną całym systemem kolonialnym“.

Istotne było w tym to, że to on sobie zdał wreszcie sprawę z rzeczy, które dla nas są tak dawno oczywiste.

Mój ówczesny rozmówca nie jest osobniony. Wśród dziennikarzy i obserwatorów — a niewątpliwie i wśród dyplomatów — z tamtego obozu, tu właśnie, w Genewie, zaczęło dojrzewać przekonanie, że na olbrzymich obszarach kontynentu azjatyckiego dokonały się i dokonują nieodwracalne przemiany, które oznaczają koniec obcego panowania.

I to jest fakt decydujący dla problemów, które stoją przed konferencją genewską.

Upadek twierdzy Dien Bien Fu stanowi poważny cios dla francuskich najeźdźców. Naród wietnamski od lat siedmiu bez mała broni uparcie swego prawa do niepodległości i zadaje coraz bardziej dotkliwe porażki francuskim kolonizatorom



III KONGRES ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH



CAF

Pierwszy Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR — Bolesław Bierut powitał w imieniu KC Partii obradujący ostatnio w Warszawie III Kongres Związków Zawodowych

NIE ZAPOMNIELI



UFP

Delegacja Francuzów, którzy byli więźniami hitleryzmu, uczciła pielgrzymką do Buchenwaldu pamięć zamordowanych towarzyszy. Na zdjęciu: powrót do Paryża.

DIEN BIEN FU ZDOBYTE



Keystone

7 maja wietnamskie wojska ludowe zdobyły twierdzę Dien Bien Fu w Wietnamie północno-zachodnim, gdzie bronili się ok. 12 tysięcy żołnierzy francuskiego korpusu ekspedycyjnego, dowodzonych przez generała de Castries (na zdjęciu). W twierdzy było 20% sił francuskich w całych Indochinach

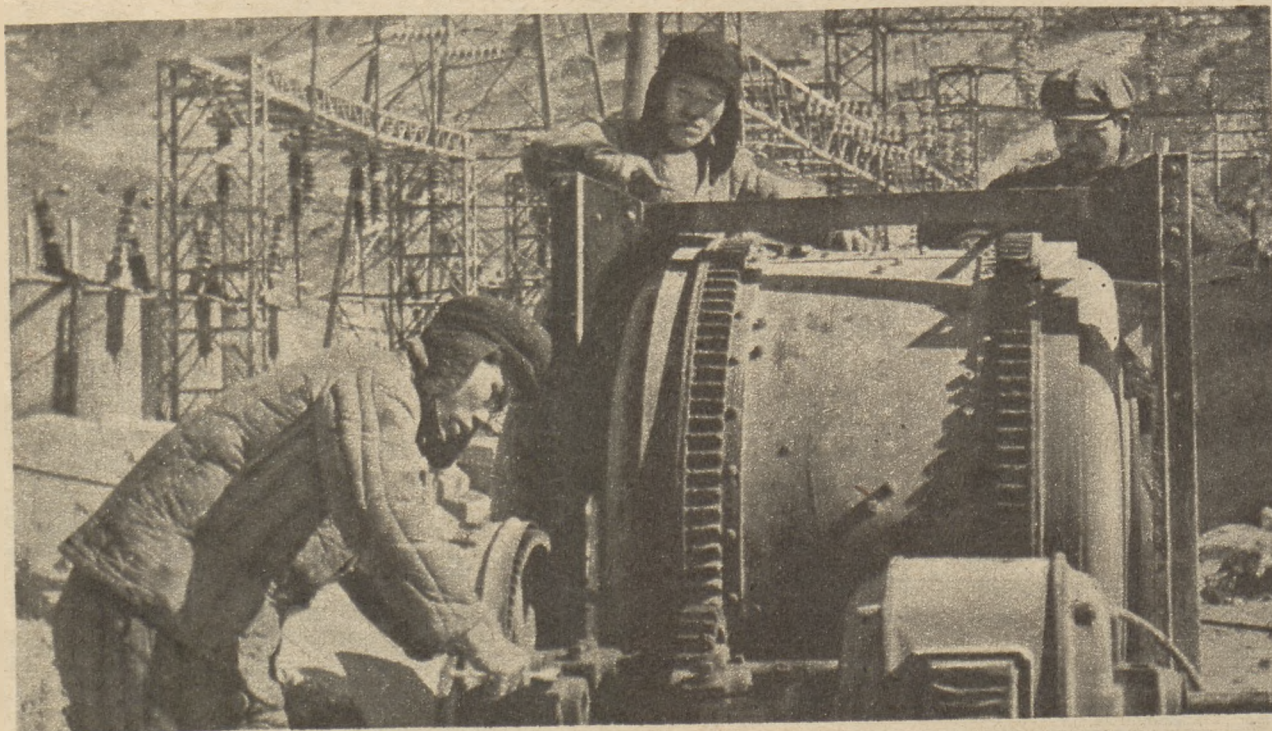
20 SEKUND GROZY



Keystone

Okolo 150 ludzi zginęło a 20.000 zostało bez dachu nad głową na skutek dwudziestosekundowego trzęsienia ziemi, które dotknęło 30 kwietnia b.r. wielkie połacie Tessalii w Środkowej Grecji. Ponad dwa tysiące domów legło w gruzach.

ODBUDOWA KOREI



Ag. Pras. — Fot. KRLD

Jak Polacy przed 10 laty przystąpili do odbudowy swego kraju, tak w Koreańskiej Republice Ludowo Demokratycznej usuwa się skutki zniszczeń wojennych. Ofiarne pracują robotnicy przy montażu elektrowni wodnej.

SPOTKALI SIĘ W BERLINIE



UFP

Karyaturzyści: Efel (Francja), Bidstrup (Dania) i Schmidt (NRD) mogą tymi ołówkami rysować całe życie

W notesie reportera „ŚWIATA” napisali:



Wasyli Pawłowicz Dikan — członek radzieckiej delegacji na III Kongres Związków Zawodowych

Gorące robotnicze pozdrowienie mieszkańcom bohater-skiej Warszawy, wszystkim ludziom pracy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej budującym szczęśliwe socjalistyczne życie.

Serdecznie dziękuję warszawiakom i delegatom na III Kongres Związków Zawodowych za troskliwą gościnność i wyrazy przyjaznych uczuć dla delegacji radzieckich związków.

B. Wasyli

tokarz Charkowskich Zakładów Traktorowych
deputowany do Rady Najwyższej ZSRR



Delegacja chińska. Sun Kang (pierwszy od lewej) z Ogólnochińskiej Federacji Związków Zawodowych

Polska klasa robotnicza pod kierunkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na czele z towarzyszem Bierutem buduje socjalizm i ma na tym polu wielkie osiągnięcia. Przekazujemy od chińskiej klasy robotniczej i mas pracujących Chińskiej Republice Ludowej serdeczne pozdrowienia i życzymy pomyślnej realizacji uchwał II Zjazdu waszej Partii oraz dalszych coraz większych sukcesów.

中國全國總工會

Kierownik Delegacji Chińskich
Związków Zawodowych



Na mównicy Pierre le Brun — sekretarz Francuskiej Generalnej Konfederacji Pracy (CGT)

Otwarcie III Kongresu Związków Zawodowych w Polsce zostało zainaugurowane przedstawieniem bilansu działalności Związków Zawodowych w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Bilans ten wynika stąd, że w ustroju demokracji ludowej działalność Związków Zawodowych oraz organizacji związkowych korzysta powszechnie z pomocy i opieki.

Zupełnie inaczej przedstawia się ta sprawa we Francji w ustroju kapitalistycznym: związki zawodowe niezależne od burżuazji, od rządu i stronnictw politycznych muszą walczyć z tymi, którzy z uporem próbują rozbić jedność robotników występujących w obronie swych praw, swobod demokratycznych i w obronie pokoju.

Wszystkie te wysiłki wrogów klasowych spotykają się od połowy roku 1953 ze stałym niepowodzeniem. Zarówno wśród robotników, jak i w organizacjach związków zawodowych, jaką na przykład jest CGT. Na nasz apel robotnicy skupiają się potwierdzając istnienie jedności w klasie robotniczej. Czynią to w całkowitym poczuciu swej narodowej i międzynarodowej odpowiedzialności. O ile chodzi o odpowiedzialność międzynarodową, łącznie ze wszystkimi siłami obozu pokoju CGT domaga się: 1) zaprzestania wojny w Indochinach, 2) zaniechania projektu utworzenia tzw. „armii europejskiej”.

Łączę wyrazy przyjaźni dla „Świata” i jego Czytelników.

P. le Brun

Sekretarz CGT, Francja



Pirro Bita, delegat Albańskich Związków Zawodowych (Tirana)

Robotnicy Albanii znają sukcesy bohater-skiej klasy robotniczej Polski Ludowej i uważają, że są to równocześnie sukcesy ludu albańskiego.

Z całego serca życzą oni poważnych osiągnięć w obradach III Kongresu waszych związków.

W imieniu delegacji albańskiej za pośrednictwem tygodnika „Świat” pozdrawiam wszystkich ludzi pracy w Polsce.

Pirro Bita



J. Kolar — sekretarz Czechosłowackiej Centralnej Rady Rewolucyjnych Związków Zawodowych (URO)

Obrady III Kongresu Polskich Związków Zawodowych dowiodły raz jeszcze, jak niezwykłą siłą reprezentują masę pracującą — dowiodły raz jeszcze potęgę obozu pokoju i pracy.

Kolár J.
uhnutí URO-CIR



Otto Lehman — przybyły z Berlina sekretarz Wolnych Niemieckich Związków Zawodowych

Pod kierownictwem SED Związek Wolnych Niemieckich Zw. Zaw. ze swymi 500.000 członków jest rozstrzygającą siłą w systemie władzy robotników i chłopów w NRD. Jako wierny i ważny pomocnik Partii w walce o polityczne i gospodarcze umocnienie naszej władzy państwowej jako podstawy walki wszystkich sił patriotycznych o zjednoczone, miłujące pokój i demokratyczne Niemcy — mają Zw. Zaw. w NRD dobre osiągnięcia w swej pracy.

Obecnie stoi przed nami zadanie — stworzenie jedności działania wszystkich robotników we wschodnich i zachodnich Niemczech. Jest to siła rozstrzygająca w walce przeciw planom wojennym zachodniemieckich militarystów i odwetowców.

Nasza Niemiecka Republika Demokratyczna stoi nieugięte w światowym obozie pokoju pod przewodnictwem ZSRR. Przyjaźń między NRD i PRL jest jasna i niezniszczalna, zrodzona na płaszczyźnie wspólnych interesów i stale rozwija się. Właśnie dlatego uważamy granicę pokoju na Odrze i Nysie między obu naszymi narodami za nienaruszalną.

Pod tym hasłem bierze udział w III Kongresie Polskich Zw. Zaw. delegacja niemieckich Zw. Zaw. Z nieklamnym zachwytem mogliśmy obserwować bohater-skie osiągnięcia w pokojowej pracy polskiej klasy robotniczej i wszystkich pracujących. Możemy zapewnić naród polski, że związkowcy NRD w braterskim sojuszu ze związkowcami polskimi prowadzić będą nadal walkę tak długo, póki nie powstaną pokojowe i demokratyczne zjednoczone Niemcy bez militarystów i odwetowców.

Otto Lehman

sekretarz Wolnych Niemieckich Zw. Zaw.



Van Oycke — przedstawiciel Postępowych Związków Zawodowych w Belgii. Powiedział on nam:

Istnieje wielka różnica między związkami zawodowymi w Belgii i u was w Polsce. Wy macie silną organizację związkową, której ogniwa działają bez przeszkód w każdym zakładzie pracy. U nas związki zawodowe są rozbite na trzy części i skłócone między sobą. Tym samym rozbita jest jedność naszej klasy robotniczej. Ten nasz związek, któremu przewodzą socjaliści prawicowi, idzie na pasku kapitalistów. Dobrych działaczy związkowych wyrzuca się z pracy na bruk. My nie mamy możliwości odbywania zebrań w swoich zakładach pracy, musimy to robić w domu po pracy lub w niedzielę.

Jesteście w szczęśliwym położeniu, bo wasz ruch związkowy popierany jest przez państwo i otaczany opieką. Dla was jest i opieka socjalna, i ochrona zdrowia, i sport, i kulturalne rozrywki, u was robotnicy są naprawdę gospodarzami zakładów, a u nas rządzą nimi kapitaliści. Gdy powrócę do Belgii, to opowiem, jakie wspaniałe osiągnięcia gospodarcze i kulturalne widziałem w waszym kraju. Będę mógł stwierdzić, że zachodnia propaganda mówiąc o waszym kraju kłamie i że „żelazną kurtynę” zapuszcza Zachód, a nie Polska.

Van Oycke Pierre

Z DYPLOMEM UNIwersYTETU W MOSKWI

A. ZACHAROW

Korespondencja własna „Świata“

SPOTKANIE było nieoczekiwane. Pierwszego dnia po przybyciu do Moskwy Adam Galiński spotkał w korytarzu Domu Studenta przy Uniwersytecie Moskiewskim dawnego kolegę z uniwersytetu we Wrocławiu, Zdzisława Augustyniaka. Spotkać się po dwóch latach niewidzenia z rodakiem za granicą, wśród nieznanym ludzi — to przyjemna niespodzianka.

Spotkania tego rodzaju na Uniwersytecie Moskiewskim nie należą bynajmniej do rzadkości. Kształcą się tu studenci i aspiranci ze wszystkich republik Związku Radzieckiego i ze wszystkich krajów demokracji ludowej.

Wśród młodzieży uniwersyteckiej jest wielu Polaków. Na wszystkich dwunastu wydziałach jest sporo młodzieńców i dziewcząt z Polski. Obrali sobie oni najróżniejsze specjalności: Uniwersytet w Moskwie przygotowuje specjalistów w dwustu z górą dziedzinach wiedzy!

Również w liczbie aspirantów spotykamy tu Polaków. Niektórzy z nich już w roku bieżącym będą broniли swych prac naukowych dla uzyskania stopnia kandydata nauk.

Zdzisław Augustyniak jest już trzeci rok aspirantem przy wydziale filozoficznym. Jego praca naukowa poświęcona jest zagadnieniom filozofii przyrody. Profesor Ch. Fatalijew, kierownik naukowy i wykładowca materializmu dialektycznego i historycznego przy wydziałach nauk przyrodniczych, wysoko ocenia jego postępy. Razem ze Zdzisławem Augustyniakiem przygotowuje się do obrony swej pracy naukowej jego rodaczka, Jolanta Kulpińska. Temat jej badań brzmi: „Klasy i walka klasowa w Polsce w okresie przejściowym“.

Aspiranci katedry chemii organicznej, Anna Markowska i Janusz Dąbrowski, kończą doświadczałą część swej pracy naukowej. Studiują już ósmy rok. Oboje z wyróżnieniem ukończyli studia uniwersyteckie i na wniosek kierownika naukowego, prezesa Akademii Nauk ZSRR profesora A. N. Niesmiejajnowa, pozostali przy katedrze jako aspiranci.

Również Zenon Słemień studiuje na wydziale chemicznym. Cieszy się on dużym poważaniem wśród swych kolegów nie tylko z powodu doskonałych wyników pracy — jest również aktywistą w pracy społecznej. W ciągu ostatnich trzech lat był członkiem zarządu Stowarzyszenia polskich studentów i aspirantów, studiujących w Moskwie. Zarówno on, jak jego kolega Stanisław Surma, student wydziału filozoficznego, są organizatorami wielu ciekawych wieczorów i wycieczek, urządzanych przez Stowarzyszenie.

Stanisław Surma jest synem kolejarza-dróżnika. W swoim czasie skończył technikum pedagogiczne i pra-

Aspirant Janusz Dąbrowski (z lewej) wraz ze swym instruktorem naukowym, dr chemii Mikołajem Koczetkowem, w laboratorium uniwersytetu moskiewskiego

cował jako nauczyciel. W 1950 r. rozpoczął studia na Uniwersytecie Moskiewskim.

W liczbie absolwentów wydziału historycznego znajduje się była łódzka włóknarka, Janina Tiberg. Pracując w jednej z większych fabryk włókienniczych Łodzi — fabryce imienia Stalina, Janina Tiberg jednocześnie ukończyła liceum wieczorowe. Przed pięciu laty Janina Tiberg przybyła do Moskwy i wstąpiła na wydział historyczny. Tu studiowała u najwybitniejszych historyków Związku Radzieckiego, członków Akademii Nauk: A. M. Pankratowej, E. W. Tarle, M. N. Tichomirowa.

Obecnie Janina Tiberg wraz z koleżankami — Eleonorą Grakina, mieszkanką Moskwy, oraz Marią Delarosa, pochodzącą spod Madrytu — przygotowują się do obrony pracy dyplomowej.

Wydział ekonomiczny Uniwersytetu Moskiewskiego kończy w tym roku Jerzy Penkala. Jego praca dyplomowa poświęcona jest rozprawom ekonomicznym Róży Luksemburg.

Niektórzy młodzi studenci i studentki z Polski dopiero rozpoczynają swe studia. Jak na przykład Stanisław Hanzel i Franciszek Luksowicz. Przyjaźń zawarli w Moskwie. Tu w pięknym Domu Studenta otrzymali pokoje, z których okien za szafirową wstęgą rzeki Moskwy rozpościera się panorama ogromnego miasta.

Hanzel i Luksowicz wstąpili na wydział fizyki. Trudności rozpoczęły się od pierwszych dni nauki. Dotkliwie przeszkadzała niedostateczna znajomość języka rosyjskiego, brakło nieraz wiadomości z fizyki i matematyki. Pomogli im radzieccy koledzy. Andrzej Leznow pomagał im w „podciąganiu się“ z matematyki, Jurij Pytjew — z fizyki; wraz z Borysem Kołczewym, organizatorem komsomolskim przygotowywali się do seminarium z podstaw marksizmu-leninizmu. Wszyscy studenci grupy pomagali im w nauce języka rosyjskiego. W rezultacie — Hanzel i Luksowicz celująco zdali pierwszą serię egzaminów.

Młodzi studenci i studentki z Polski, podobnie jak ich radzieccy koledzy — z zamiłowaniem uprawiają sport. Franciszek Luksowicz jest zapalonym pływakiem. Dwa razy w tygodniu trenuje w sekcji pływackiej klubu uczelnianego, prowadzonej przez znanego pływaka Leonida Mieszkowa.

Stanisław Hanzel należy do sekcji narciarskiej. Student-chemik Zdzisław Dudzik doskonale biega na krótkie dystanse. Obecnie wraz z kolegami z sekcji lekkoatletycznej przygotowuje się do sezonu letniego.

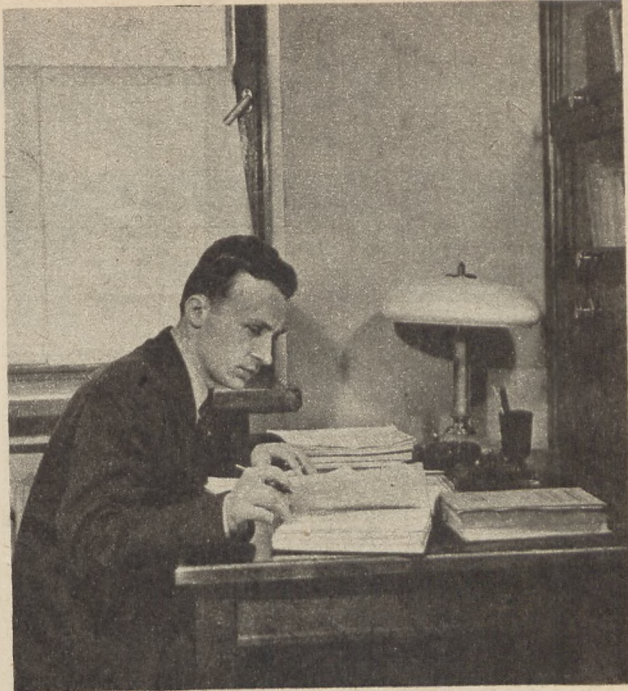
Stanisław Hanzel także dobrze śpiewa i wraz z koleżanką Anną Czernyszową przygotowuje się do kolejnych eliminacji zespołów amatorskich. W kwartecie wokalnym występuje student wydziału biologii i gleboznawstwa Andrzej Batko. Kwartet ten nosi w klubie przydomek „międzynarodowego“, gdyż w skład jego wchodzi: Rosjanin — Mikołaj Woroncow, Ukrainka — Antonina Gołubkina, Hiszpan — Antonio Pretel i Polak — Andrzej Batko. Kwartet cieszy się wielkim powodzeniem nie tylko na uczelni — występował już w radio moskiewskim!

Około trzydziestu polskich studentów i aspirantów uczestniczyło niedawno w wycieczce do Leningradu. Obecnie Stowarzyszenie studentów polskich zamierza zorganizować w letnich miesiącach przejażdżkę Kanałem Wołga - Don im. Lenina.

Zbliża się letnia sesja egzaminacyjna, okres obrony prac dyplomowych oraz prac naukowych na stopień aspiranta.

Zdzisław Augustyniak, Jolanta Kulpińska, Jerzy Penkala i wielu innych aspirantów i absolwentów kończy już studia uniwersyteckie i wkracza na poważną drogę samodzielnej działalności naukowej, badawczej i pedagogicznej.

Za parę miesięcy do wielkiej armii budowniczych Polski Ludowej włączy się nowy oddział specjalistów — specjalistów z dyplomem Uniwersytetu w Moskwie.



Jerzy Penkala przygotowuje się do dyplomu z ekonomii

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

PROTE

(Filisteriada w

I.

Obywatel Michin
stróżowej druch cichy.
Dozorca zasię
z Felicją zna się.
Ciotka Felicja
ma kogoś w milicji.
Przodownik milicji

Fiodor Owieczko

ma w
radzie dzielnicowej
przydatnego człowieczka.

Niesposób jego rangi
w pamięci utrwalić.

Może nadwożny?
Może wicepalacz?

Ta ważna osobistość
ma bliską znajomą

— mamusię
maszynistki
sekretarza
rejkomu.

Tej zaś
najwyższe sfery nieobce:
ma przyjaciela w rządzie!
(Kierowcę)

Pietrow zaś, podobno,
wozi, wiecie, tego,
o którym gdy się mówi
dębem stają włosy —

małeńkiego wzrostu
stopnia olbrzymiego
słowem, wiecie,
nie,
dajmy spokój...
Dosyć.

II.

Cichy Michin
do bramy zapycha

„Padam do nóżek,
nie widzieliście stróża?“
Dozorca spotka
opiekunkę-ciotkę.

Ciotka Felicja
coś szepnie w milicji.
Przodownik Owieczko
beknie słoweczko.
Nadwożny zaś

wykapany da Vinci
odziany w brodę
jak obraz w ramie

Wprost się uda
do bardzo ważnej mamy.

Córka jej
stosuje niezawodne środki:
Słodkie pieszczotki
niewinnej trzpiotki.





Nowy, wspaniały gmach Uniwersytetu w Moskwie, wybudowany na Wzgórzach Lenina



Jolanta Kulpińska w swym pokoju w nowym Domu Studenta

Przełożył: JERZY PUTRAMENT

K C J A

3 częściach)

Podbiła tak wszystkich
afery,
nieudno nawet winić prostaczka-szofera.
Pietrow czeka
nim jak słońce z chmury
błysnie twarz wybitna
wybitnej figury.
— Przepraszam, towarzyszu...
— słowa rzuca wartkie,
przyniła i rozkoszne
jak trele słowicze
a! zmieknę waśniak:
— Macie tu kartkę.
Na kartce zaś
spełnienie wszystkich życzeń.

III.

A spróbuj no, połaż
bez poparcia w tych kołach.
Pyskate stróżowe
pędzą brzydkim słowem.
Zwymyśla białolica
Ciotka Felicja.
Już prezencja nie ta
i wzrok cokolwiek błędny,
gdys napotkał faceta
z milicyjnej komendy.
Woźny śmiechem pryska:
— Nie leźcie do rady
wszyscy na teńsku,
nie da rady.
Mama sama z dziecinką-maszynistką
cnoty pilnując
nie podpuszczą blisko.
Tymczasem
nieuchwytnych różnych wielmożów
szoferzy sobie kędyś woźą
i woźą.
Nie złapiesz ich,
śliszcy,
nie ludzie, węgorsze.
Wszędzie
— Wejście przez sekretariat, na prawo.
Jęknij tedy —
gorze mi, garze —
i odejdzcie.
Beznadziejna sprawa.
Mniejsza,
kto ponosi za to winę
gruba ryba
czy zwyczajny hubeł
Trzeba
zerwać z urzędów
pajęczynę
kamoterstwa,
machlojek,
rozróbek!

(1926).

„PUŁAPKA“ NA FRANCJĘ I CZARNY TYDZIEŃ PANA DULLESA

REDAKTOR naczelny organu finansjery amerykańskiej „Journal of Commerce“, Jules I. Bogan, z cynizmem właściwym „ludziom interesu“ ujawnił w przeddzień konferencji genewskiej nastroje kapitalistów amerykańskich, które pozwoliły im spokojnie przypatrywać się trwającej od szeregu miesięcy „depresji“ gospodarczej. Wprawdzie skończył się „boom“ na giełdzie pod wpływem wojny koreańskiej i akcje przemysłu zbrojeniowego notowane były dość nisko, ale Wall Street oczekuje nowego „boomu“: wojny amerykańskiej w Indochinach! „Wojna ta — z rozbrajającą szczerością pisał Bogan w artykule przedrukowanym z „Journal of Commerce“ przez angielski „Financial Times“ — spowoduje wzrost wydatków na zbrojenia, a przecież wojna w Korei wykazała, jak dobrze gospodarka amerykańska reaguje na podobne podniecia“.

Nic też dziwnego, że w chwili, kiedy sekretarz stanu Foster Dulles i wiceprezydent Richard Nixon zapowiedzieli publicznie interwencję amerykańską w Indochinach i grozili Francji przejęciem inicjatywy strategicznej na froncie wietnamskim, załamującym się pod naporem ofensywy armii ludowej generała Giapa — prezydent Eisenhower rzucił kupcom USA hasło wzmoczonego gromadzenia surowców strategicznych. Nic też dziwnego, że w ciągu kilku dni podskoczyły akcje wolframu na giełdzie londyńskiej, podobnie jak akcje cyny, ołowiu i miedzi. Haussa trwała jednak niedługo, błyskawiczna podróż Dullesa do Londynu i Paryża nie przyniosła oczekiwanych wyników, a komunikat wydany wspólnie przez Dullesa, Edena i Bidault nie zawierał zapowiadanego „ostrzeżenia“ pod adresem Chin Ludowych. Uplanowaną interwencję trzeba było odłożyć. Było to jedno z pierwszych rozczarowań purytańskiego krzyżowca i desperackiego „obroncy wolnego świata“, który tłumaczy się teraz w Waszyngtonie z wyników pierwszego tygodnia genewskiego, tygodnia „najczarniejszego w historii dyplomacji amerykańskiej“, jeśli użyć określenia gazety „Washington Evening Star“.

Claude Bourdet, redaktor naczelny tygodnika francuskiego „France Observateur“, nazwał konferencję genewską „pułapką zastawioną na Francję“. Pułapka ta, przynajmniej w pojęciu wojskowych i cywilnych członków rządu USA, skonstruowana była w sposób bezbłędny.

Agresja amerykańska w Indochinach miała dokonać się, podobnie jak agresja koreańska, pod maską „międzynarodowej“, a więc pod flagą pośpiesznie montowanego paktu Pacyfiku, tzw. PATO. Pretekstem do interwencji miało być „zagrożenie pokoju i bezpieczeństwa w Azji“ przez zbliżające się klęski armii francuskiej w Wietnamie. Oświadczenie wiceprezydenta Nixona, zapowiadające wystąpienie Armii USA do Indochin — jeżeli Francja nie wytrzyma uderzenia — stawiało rząd francuski wobec ultimatum. Pierwszy warunek — kontynuowanie przez Francję samobójczej i beznadziejnej wojny w Wietnamie — był praktycznie nie do wykonania, gdyż ostatni bastion francuski w Dien Bien Fu, okrażony przez zwycięskie wojska generała Giapa, znajdował się w przededniu ostatecznej katastrofy, oddziały bao-dalowskie masowo przechodziły na stronę ludową, a francuska opinia publiczna gwałtownie domagała się rokowań pokojowych z Ho Szj Minem. Drugi warunek — zgoda na interwencję amerykańską, oznacza faktycznie wyprawę Francji przez USA z Indochin i utratę terenów, obfitujących w surowce „strategiczne“ i stanowiących niegdyś jedyną poważną zaplecze imperializmu francuskiego w Azji.

Tak więc rząd francuski znalazł się między przysłowiowym młotem i kowadłem. Minister Bidault, mało skłonny do hamletowskich konfliktów „sumienia“, usiłował dostosować się do życzeń swoich mocodawców i w połowie kwietnia, tuż po ultimatum Nixona, „poprosił“ rząd amerykański o udzielenie pomocy Francji w Indochinach w postaci... nadesłania setek bombowców amerykańskich, które miałyby rozpocząć dzieło masowej zagłady ludności w południowym Wietnamie.

Ta część opinii francuskiej, która dała się uspić obietnicami premiera Laniel na temat rokowań pokojowych w Genewie, ocknęła się raptownie, kiedy niedyskretny jak zwykle „New York Times“ opublikował 25 kwietnia artykuł swego

genewskiego korespondenta Sulzbergera. Artykuł informował o „prośbie“ francuskiej i o „odmowie“ amerykańskiej. Rząd amerykański, skłoniwszy perfidnie ministra Bidault do niefortunnego wystąpienia, szantażował go podwójnie: odmawiał interwencji lotnictwa amerykańskiego, jako „kroku zbyt poważnego w czasach pokoju“, ale pozostawiał rządowi francuskiemu furtkę nadziei. „Zakomunikowano Francuzom — pisał Sulzberger — że aspekt prawny ich prośby o udzielenie pełnej pomocy mógłby być rozważony w sposób odmienny, gdyby powstał jednolity front dzięki zawarciu paktu południowo-wschodniej Azji...“ (Cytujemy za dziennikiem „Monde“ z 27 kwietnia).

Drugie ostrze szantażu amerykańskiego wymierzone było w ministra Bidault bezpośrednio. Prasa amerykańska demaskowała ustami Sulzbergera tajemny manewr ministra spraw zagranicznych wobec francuskiej opinii publicznej, wstrząśniętej wiadomościami o tragicznej sytuacji garnizonu w Dien Bien Fu i żądającej natychmiastowego zakończenia wojny.

Odmowa amerykańska spowodowana była jednak nie tylko kalkulacjami politycznymi. Oświadczenia Nixona i Dullesa wywołały burzę protestów w Stanach Zjednoczonych, protestów, które znalazły donośne echo nawet na ławach Kongresu, zarówno wśród demokratów jak republikanów. Po bolesnych doświadczeniach koreańskich niełatwo przyszłoby republikanom, szykującym się do wyborów w listopadzie — zmusić opinię publiczną do poknięcia nowej gorzkiej pigułki, tym razem pigułki agresji indochińskiej. Toteż trzeba było ostudzić ją znanym frazesem Eisenhowera z okresu kampanii wyborczej o prowadzeniu wojny w Azji w ten sposób, żeby „Azjaci walczyli z Azjatami“. Dlatego też politycy amerykańscy włączyli do swoich planów zadanie „uwiedzenia“ Bao-Daia, który, odciągnięty od Francji, stałby się indochińskim Li Syn-manem. Zadanie to nie nastroczało zresztą trudności i już 25 kwietnia ukazał się w prasie francuskiej odpowiedni komunikat bawiącego na Riwierze „cesarza“. Bao Dai zrywał w nim rokowania z rządem francuskim na temat przyznania „niepodległości“ Wietnamowi i złączenia go „dobrowolnymi“ więzami z Unią Francuską.

Drugim manewrem mającym oszukać światową, a zwłaszcza amerykańską opinię publiczną, miał być zapowiedź sprowadzenia do Wietnamu armii... Czang Kai-szeka, która wyręczyłaby amerykańskich „boys“.

Jak widzimy, pułapka zastawiona na Francję i na opinię światową była budowana misternie, ale z kruchej budulca. Nieoczekiwaną konsekwencją zabiegów pana Dullesa były: trzeźwa reakcja Wielkiej Brytanii, która odmówiła kategorycznie udziału w awanturze indochińskiej, przynajmniej do zakończenia konferencji w Genewie; odrzucenie przez szereg państw azjatyckich — Indie, Indonezję i inne — planów agresywnego paktu południowo-wschodniej Azji; izolacja delegacji amerykańskiej w Genewie; ujawnienie się w najostroższej dotychczas formie sprzeczności pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a ich europejskimi sprzymierzeńcami; wreszcie sromotny powrót Dullesa do Waszyngtonu.

Po „najczarniejszym tygodniu“ w historii dyplomacji amerykańskiej nastąpiły nie mniej czarne dni dla ministra Bidault. Wśród czterech interpelacji zgłoszonych w parlamencie się jedna — deputowanego niezależnego Vallona — oskarżająca Bidault o „wielokrotne pogwałcenie obowiązków ministra spraw zagranicznych“. Doszło wreszcie do tego, że deputowany socjalistyczny (SFIO) Charles Lussy w przemówieniu, domagającym się natychmiastowego zawieszenia broni w Wietnamie, oświadczył, że „minister Bidault stracił zaufanie kraju“. Burzawyjna prasa francuska coraz częściej mówi o „zdradzie“ Bidault.

Pułapka zastawiona na Francję i na opinię światową zamieniła się w potrzask, w którym znaleźli się niespodzianie główni aktorzy spisku.

Złote sny „obronców wolnego świata“ zakończyły się na razie „czarnym tygodniem“. Panowie Dulles, Bidault, Nixon wraz z admirałem Radfordem i zespolem marionetek — Li Syn-manem, Czang Kai-szkiem i Bao Daiem, oczekujących nowych instrukcji, opracowują świeże plany, które mają doprowadzić do bardziej długotrwałej haussy na giełdzie...

DOROTA BARSKA

Notatnik zapalenica

TAJFUN

PRZYNAJCIE się, Czytelnicy, że macie już dość tego kolarstwa. Pomówmy teraz o piłkarstwie. Ostatni mecz... przepraszam, nie słyszę. Że co? Żeby Wam, nie zwracał głowy piłkarstwem? Ludzie, co się z Wami stało?

Nie, to nie jest wyścig kolarski, ale cyklon, tajfun, samum, huragan, tornado. Wszystko poszło w kąt. Konferencje, zjazdy, komentarze Osmańczyka, rekord świata Petruszewicza, wspaniały wynik Chromika i Krzyszkwia. Rodzice zaniedbali dzieci, przypalono miliony obiadów, zerwano tysiące narzeczeństw, udzielono 300 rozwodów na skutek niezgodzonych poglądów co do wartości Wilczewskiego, wycofano 7825 spraw rozwozowych wskutek nagłego pogodzenia się stron, zanotowano 70.000 objawów nieuleczalnej bezsensowności, 2 wypadki cudownego uzdrowienia paralityków oraz jeden wypadek wskrzeszenia zmarłego.

A piłkarze grali kiepsko i o tym trzeba by porozmawiać.

Przed redakcjami zbierały się tłumy. Ucierpiała na tym komunikacja miejska i jedna niewinna dorożka. „Krytycznego dnia” do sali konferencyjnej Związku Literatów, w której odbywało się połączone zebranie poetów i prozaików, wszedł z tajemniczą miną Jerzy Putrament. Do prezydium powędrowała kartka. Antoni Olcha („Most nad urwiskiem”) drżącym ze wzruszenia głosem odczytał nazwiska zwycięzców etapu Zabrze — Wrocław. Zerwały się oklaski piętnastu przedstawicieli „połączonych” sekcji poezji i prozy — inni stali już dawno na ulicy przed głośnikami i czekali na komunikat.

A piłkarze grali słabo — i sądzę, że nie powinno im to uść na sucho.

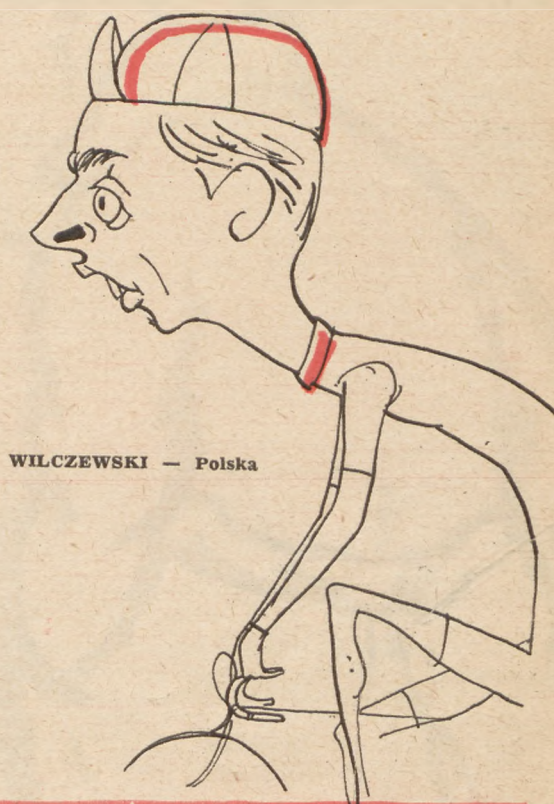
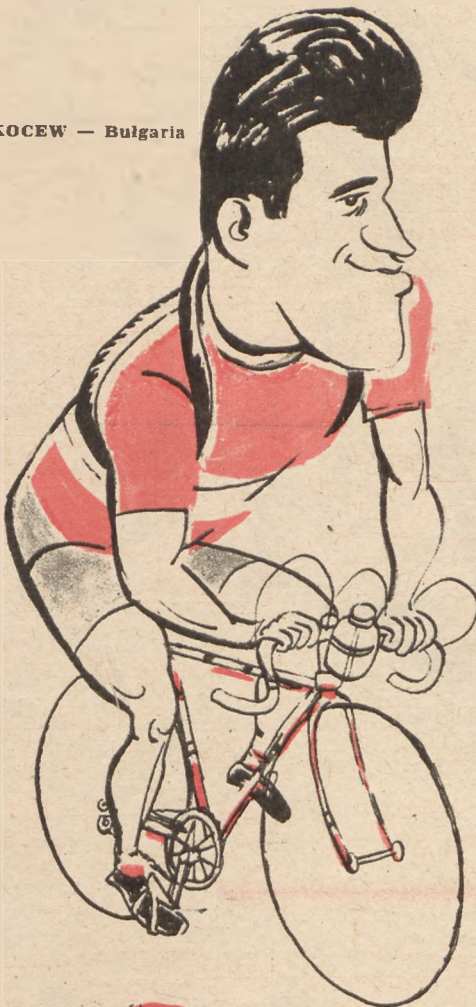
Ktoś zażartował sobie w sposób niezbyt, przyznajmy, wybredny, że Wilczewski złamał nogę. Naród ogarnęła żaloba — na szczęście, krótkotrwała. Zagrały surmy bojowe i „Przegląd Sportowy” ruszył do ataku: „Nie, nieprawda. To tylko wstrętne plotka, rozsiewana podle przez tych, którym obce i wrogie są nasze przeżycia, nasze wzruszenia, nasze idee”. No, no — czy tego aby nie za wiele.

Trzeba powiedzieć, że uczyniono w tym roku wszystko, by rozbudzić ciekawość opinii publicznej. Najwięcej uczynili sami kolarze: przybyli w licznej, doborowej stawce. Już w zeszłym roku nasi rodacy przysporzyli nam mnóstwo emocji na zakończenie Wyścigu. W tym roku trzymali nas w napięciu od pierwszej chwili. Gazety skrupulatnie informowały, który zawodnik co jest wart. Zaproszono nawet kilku kolarzy do studia telewizyjnego. Bardzo dobry pomysł, dający widzom wrażenie bezpośredniej niemal rozmowy z zawodnikiem. Podobno telewizyjne rozmowy ze sportowcami będą się powtarzać i naszych „telewidzów” czekają wywiady z Chromikiem, Petruszewiczem i kilkoma innymi gwiazdami sportu. Tych telewidzów jest obecnie nie więcej niż 4000 — liczba raczej skromna — ale przecież na niej się nie kończy. Przeciwnie, to dopiero początek. A kiedy będzie można zobaczyć w telewizji jakiś frapujący bieg?

Piłkarze grali słabo. Mimo całego przejęcia się Wyścigiem Pokoju, nie wolno nam o tym zapominać. Gdyby nie wyjątkowa nieudolność strzałowa reprezentacji Pragi, drużyna polska, występująca pod firmą „Warszawy”, zeszlaby z boiska z bagażem co najmniej 3 bramek. Oglądałem mecz Warszawa — Praga nazajutrz po meczu Węgry — Anglia (ten drugi, naturalnie, tylko na ekranie) i chciałbym poczynić pewne porównania. Nie mówcie, że tak nie wolno, że to nie „fair”. Skoro w literaturze każdego debiutanta porównuje się od razu z Szolochowem, po to, by go (tego debiutanta) tym łatwiej pograżyć, to można tę samą metodę zastosować do piłki nożnej. Otóż różnica między naszymi piłkarzami a piłkarzami węgierskimi — poza takimi drobiazgami, jak opanowanie techniczne piłki, szybkość, strzał — polega na tym, że tamci widzą boisko, a nasi grają na ślepo. Powiecie mi na to, że gdyby dysponowali wymienionymi w poprzednim zdaniu „drobiazgami”, widzieliby boisko także. Zgoda. O to właśnie idzie! Trzeba widzieć, co się na polu dzieje i umieć odpowiednio pokierować grą. Niestety, drużyna „Warszawy”, poza parą Cieślak — Alszer, grała z zawiązanymi oczyma. Dotyczy to szczególnie pomocników, którzy zawalili mecz. (Mimo to nie rezygnowałbym z Siekiery, miał momenty dobre, dałbym mu okazję do podciągnięcia się).

Rozważania taktyczne mają w tej chwili znaczenie drugorzędne. Każda taktyka ma szansę powodzenia, kiedy dysponuje się dwoma zaletami: kondycją i techniką. Właśnie tego dowiedli kolarze.

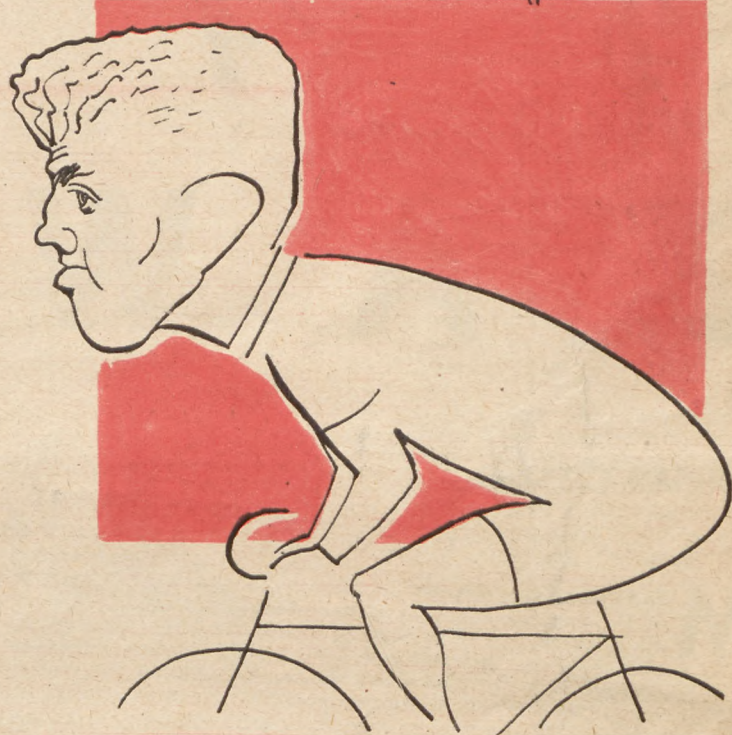
KOCEW — Bułgaria



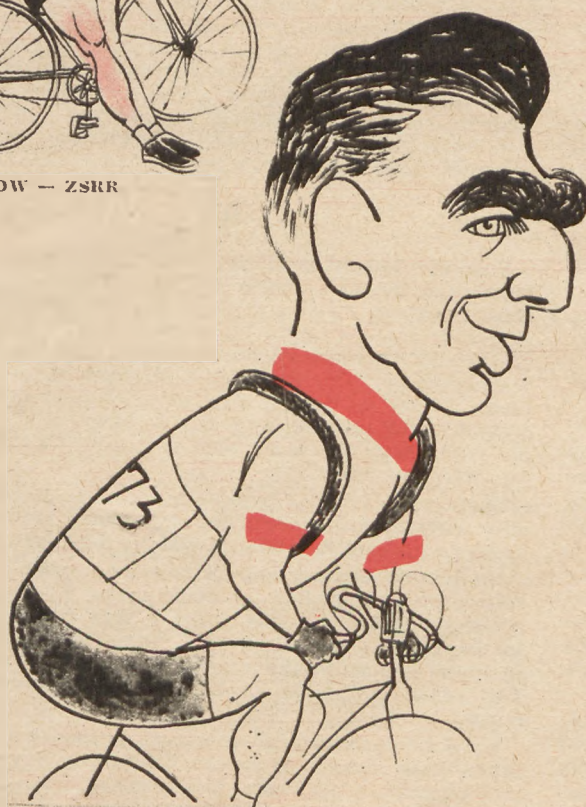
WILCZEWSKI — Polska



CZYŻIKOW — ZSRR



GERRARD — Anglia

EDWARD KLABINSKI
Polonia Francuska

AMARJIT SINGH — Indie



ZAWAŁ

BOHDAN CZESZKO

Ilustr.: MAREK RUDNICKI

I

MIASTECZKO nazywało się nieprawidłowo: Woty. Powinno się nazywać tak jak pierwotnie Osy, ale ludziom, którzy tu przyszli w roku 1945 wystarczyło, że przetłumaczyli niemiecką nazwę Ochsen. Było to miasteczko na ziemi o płodnej glebie i łagodnym klimacie z dobrym słońcem i wilgotnym powietrzem. Miasteczko na nizinie, czyste i schludnie zabrukowane, zarośnięte zacisze niosącym winogradem.

Teraz — jesienią, nawet pociągi mknące po wysokim nasypie wśród wędnących łąk i nagiej ziemi gwizdały jakby dyskretniej, zawodziły melancholijnie wśród niebieszcących pejzaże oparów i kłębow wrześnieowych pajęczyn. Nocami nadciągały gęste mgły, których słońce za dnia nie mogło pochłonąć.

Wieczornym pociągiem przyjechał młody człowiek w brezentowym płaszczu i poszedł na przedmieście Za Potokiem. Szedł powoli, rozglądał się szukając w mroku zapamiętanych z dawna sylwet drzew i budowli.

Dobrnął do drewnianego budynku stojącego wśród rozrzuconych kartoflisk i sadów brzoskwińowych. Wilgoć ociekała powoli jak miód z wielkich liści winogrodu obrastającego południową ścianę domu. Młody człowiek klekotał gwałtownie klamką u drzwi.

- Kto tam?
- Swój.
- Co za „swój“?
- To ja: Józef.
- Jaki Józef?
- Otwieraj bydlaku!

Drzwi otwarto. Ten, który nazwał się Józefem, wtargnął do wnętrza, zsunął z czoła czapkę i oparty plecami o ścianę odetchnął głęboko. Gospodarz domu począł zbyt szybko zapinać na brzuchu guziki swego króliczego kubraczka.

— Wyjątkowo paskudny czas — powiedział Józef. — Wyjątkowo.

Zdjął czapkę, otrząsnął ją i począł ściągać z ramion płaszcz ściemniały od wilgoci. Gospodarz przekreślił kontakt zapalając żarówkę u szczytu wąskich schodów i wskazał dłonią kierunek. — ku górze.

Pokoik nie zmienił swego wyglądu i zapachu. Wisiały pęki ziół u sufitu siejące zastarzałe wonie ziemi i powietrza. Stała w tym samym kącie ta sama paczka i złożone łóżko polowe, przykryte zakurzoną rogożą. W kącie przeciwnym żółciła się znowu przyma kaczanów kukurydzy. Józef zapamiętał ich mączny, clikowo-słodkawy smak, kiedy żuł ziarna zabijając czas.

Powrócił do miejsca, gdzie rzucona kotwica sięgnie dna. Nie czekając na nadejście gospodarza zamknął okiennicę, zawiesił na niej rogożę, zapalił światło i roz-

stawił łóżko polowe opierając zagłówek o bok paczki. Płaszcz i czapkę powiesił na gwoździu sterzącym z futryny. W ten sposób zamieszkał.

Usiadł na łóżku, wyciągnął nogi przed siebie. Twarz miał zwyczajną, o nieco ciężkich rysach. Oczy jego otoczone zaczerwienionymi fałdami skóry zbyt głęboko zapadły w oczodoły i szklili się spod gęstych brwi narakotycznym, chorym blaskiem. Skórę opiętą na wydatnych azjatyckich skołach nasycił ceglastą barwą gorączkowy rumieniec.

Przymknął powieki i odpoczywał. Chłonał odpoczynek ze zwierzęcą łapczywością. Czuł, jak odpoczywa jego krew, i mięśnie, i cieniutkie włókienka nerwów, i skóra. Pulsował odpoczynek.

Przyszedł gospodarz. Usiadł na krześle naprzeciw Józefa i przyglądał się z nadmierną uwagą jego turystycznym trzewikom. Potem powoli podniósł wzrok dając ku twarzy śpiącego i tu nadział się, jak na dwa bagnety, jak na dwie brzytwy, na spojrzenie przybysza.

— No... panie Majewski — powiedział Józef — ...Strzelić ci w łeb od razu czy jak?... —

II

Pustynny lament świdrował uszy Bartłomieja: „Po co mordować powoli... lepiej od razu zarżnijcie... dawaj zboże... wypruj z siebie a daj, idźcie do stodoły! Bierście, kiedy Boga w sercu nie macie...“ — wył falsetem Kostomski. Odpowiadał mu fagotowym głosem delegat województwa: „Co wy tutaj z pruciem i mordowaniem. Co wy mi tutaj z pruciem i mordowaniem wyjeżdżacie. To szantaż, to teatr, to błaga, a do stodoły nie pójdziemy, nie mamy tego zwyczaju. Człowieku, ja do ciebie mówię...“

Bartłomieja nie stać było na to, aby być po czyjejkolwiek stronie, doskwierało mu skrzypienie ławek szkolnych, rozpychanych wielkimi ciałami dorosłych.

Na ścianie umieszczono prymitywne rysunki: jedno żółto-czerwone jabłko — obok cyfra 1, dwa żółto-czerwone jabłka — obok cyfra 2, trzy żółto-czerwone jabłka, cztery żółto-czerwone... ..tekturowy zegar z ruchomymi wskazówkami czarnymi jak wasy karalucha. Ten zegar służył do nauki mierzenia upływającego czasu.

Bartłomiejowi osiadał w ustach grubą skorupą ziemisty smak tytoniu. W sinych, falujących smugach dymu płynęły i wirowały korowody czerwono-żółtych jabłek, którym zegar patronował jak księżyc. Następowały przyplwy i odpływy jabłecznych konstelacji razem z przyplwami i odpływami serca poruszającego się w piersi Bartłomieja jak stwór obcy pęczniący pulchnie — zdawało się wówczas, że rozniesie zebra, — i malejący do rozmiarów kłującej igielki lodowej.

Rozpiął sweter i starał się dłonią przytrzymać falowanie serca, ugniatał je plecami kiedy obrzmiewało.

— Panie Bartłomieju — szeptał mu do ucha przewodniczący Rady. — Idź pan do domu. Pana znowu oblewa zimny pot, ja to widzę.

Bartłomiej zszedł z podium i pozpychając ludzi jak wodorosty w jeziorze, poszedł ku drzwiom.

Wrzesień był zgniły tego roku. Nie padały deszcze, tylko leżała nocami ciężka mgła, a słońce nie mogło jej za dnia wypić. W tej mgle świeciły żółto okna.

Bartłomiej, człowiek chory, któremu lekarze zalecili pobyt i spokojną pracę w małym miasteczku na nizinie, miasteczku oplecionym bluszczem, chory na serce Bartłomiej zszedł ku drodze i ruszył w kierunku swego domu. Droga była wysadzana dębami, kora drzew szerniała i zmechiała od wilgoci jak końska sierść.

Mokry żwirek na drodze skrzypi pod naciskiem opon. Miarowo chrzęści łańcuch łączący przekładnię z trybikiem. Sapie pies biegnący za rowerem. Na rowerze, mijając mechate, czarne dęby, jedzie komendant Władysiek.

„Jedzie taran rewolucji, jedzie nosorożec“ — myśli Bartłomiej, ponieważ żywi do Władysiuka uczucia niechęci i pogardy. Uczucia te przenosi Bartłomiej także na psa Burka. Nie jest w stanie myśleć bez obrzydzenia o tym wilku nieprawego łoża, którego fatalne pochodzenie znamionują obwisłe końce uszu, żółty, zjadliwy blask oczu i krępa budowa.

Bartłomiej tai swe uczucia, o ile uczucia można w ogóle zataić.

„Wlecze się ten mędek, ten farmazon patrzący na księżą oborę“ — myśli komendant Władysiek widząc znajomą sylwetkę. Ci dwaj ludzie żyją w małym miasteczku, stykają się ze sobą od czasu do czasu i nie mają sobie nic do powiedzenia. Jeden o drugim wie niewiele. Zdawać by się mogło, że ich wzajemne nieprzyjazne uczucia zrodziła małomiasteczkowa nuda i plotkarstwo oraz owa konieczność posiadania sądu o innym człowieku, jakiej każdy z nas czy chce, czy nie chce ulega. Teraz mijają się i wymieniają nikły gest pozdrowienia. Bartłomiej idzie dalej splugawiony diabelskim, żółtym spojrzeniem psa, rzuconym w przebiegu spode łba, spod ohydnie załamanych uszu.

Bartłomiej mija teraz niewielki placyk wybrukowany kamienną kostką. Bruk lśni mizernym połyskiem zabłakanego światła dwóch latarni. Latarnie te nazywa doktor Szrek Castorem i Polluxem. Co nachalniejsze łobuzy krzyczą za plecami doktora Szreka: „kastopolu!“ Krzyczą, kiedy przylapiają go, jak późnym wieczorem wychodzi z gospody po wypiciu swoich dwóch wódek. Na szczytowej ścianie gospody można za dnia odczytać zatarty napis gotycki: „Edelweis“. Bartłomiej zatrzymał się na rynku, ponieważ żywi nadzieję, że na plac oświetlony Castorem i Polluxem wychynie z wnętrza gospody długa, donkiszotowska postać przyjaciela w niechlujnie rozwianym płaszczu i że wśród tej mokrej nocy spotka na drodze przyjazny uśmiech i dobrą radę.

Rynek pełen wilgotnych żabich połysków pozostał bez człowieka. Nie będzie przyjaznego uśmiechu ani dobrej rady. Bartłomiej poszedł dalej zamgloną drogą ku swojemu bluszczem oplecionemu domowi, położonemu w cichej, nizinnej mieścinie, niosąc w piersi ostrożnie, jak nadpęknięte jajo, swoje biedne, chore serce.

III

Cicho było na posterunku w pokoju dyżurnego jak u matki rodzonej. Gazeta, którą sfumiono światło żarówki, żółkła od gorąca, uwiędła i ozdobiła ją brązowe krążki spalenizny. Wahadło szafkowego zegara miarowo przepychało sekundy. Komendant Władysiek oparty o balustradkę przestępował z jednej zmęczonej nogi na drugą, pokonując nagłe zubożenie i senność, jaka opanowała go wśród tych znajomych ścian i przedmiotów wypolerowanych dotykiem także i jego dłoni. Słuchał:

— Franka Kisielewskich przyprowadził leśniczy Sojka i zapodał, że tenże Franek Kisielewskich to właśnie wnykarz... zamknąłem... Sojka prowadził go pod fuzję, bo powiada, że Franek jest łobuz i nożownik, a Sojka ma żonę i dzieci.

— Sojka też kłusuje... — powiedział komendant — a z fuzją niech się nie wypina. Kozak się znalazł. Zamknąłeś? A dowody?... —

Dyżurny uśmiechnął się i nieomal tryumfalnie wydobyl z szafy pęk druczianych stryczków. Komendant Władysiek kiwnął sennie głową.

— Tak... no i tak — powiedział. — Usiądzie wobec tego Franek za wnykarstwo.

Wypowiedział to zdanie słuchając własnych słów. Napłynęło wówczas znane uczucie żalu i nieprzydatności, towarzyszące mu od chwili, kiedy przybył do tej rodzącej wino, brzęczącej pszczołami ziemi. „Wnykarstwo“ — powtórzył w myśli — „wnykarstwo“...

Spojrzał na czarną skrzyneczkę telefonu, jakby spodziewając się, że już teraz rozterkocze się, że ulaskawi jego sen. Polecił budzić, gdyby coś było, i poszedł do siebie.

Pies leży na szmacianym dywaniku i liże metodycznie, z przejęciem poduszki pod palcami przednich łap. Przerywa niosący ulgę zabieg, ponieważ czuje wzmoczone zapach boga i widzi, że on pochylił się nad nim. Słyszy także głos nie niosący rozkazów, lecz łagodny i współczujący. Lekki uścisk jego pałców, którymi dotyka gorących chropowatych opuszków na końcach łap, nie jest bolesny, ale pies wydaje cichy jęk przewidując, że uzyska pieśczętę boga.

Słychać później znajome dźwięki: stukają buty, szeleści odzież, chlupocze woda. Te dźwięki poprzedzają wroga ciemność — nabrzmiała wszelkim niebezpieczeństwem.

Komendant Władysław ochlapał głowę i barki wodą, a chłodne kropelki pozostawił przez chwilę na skórze. To orzeźwia i powoduje, że senność odchodzi na chwilę niechętnie, aby później uderzyć wzmogoną falą. Kropla wody stoczyła się na piersi i łaskocząc spływa wzdłuż głębokiej blizny. Skóra w tym miejscu nigdy nie wróciła do zdrowia, jest różowa i delikatna jak po oparzeniu; leciutko zmarszczona po brzegach blizna przypomina duże usta stulone w ciup.

Później, kiedy komendant Władysław leżał na wznak w materacu, czarnej ciszy, obraz, jaki go nawiedził, miał kolor biały. Szerokie, śnieżne pola Podlasia. W powietrzu ogromnym i przesyconym słońcem drża iskry mrozu; krzewy są kłębami koronek. Wielkie czapy śniegu przywały dachy chałup. Ani jedna smuga dymu nie mać błękitu nieba. W ciszy słychać tylko wycie psa i szybkie oddychanie zmęczonych biegiem ludzi w uciążliwych śniegach. Stoją w milczeniu i nie mają tu nic do roboty, ponieważ przybyli za późno. Pomiędzy zabudowaniami leżą mężczyźni w gaciach, a każdy leży na czerwonym śniegu jak na sztandarze. Jest i ciężarna młoda kobieta, której brzuch otworzono nożem. Jest i kilkuletnia dziewczynka, której oczy wybito kulami.

I ślady stóp wielu ludzi dążące skroś pól ku ledwo majaczącej sylwetce ściany lasu.

Niesposób rozróżnić, ilu ludzi szło śnieżnymi polami, szli bowiem wilczym sposobem — w rzędzie. Władysław ogląda ten biały obraz stojąc oparty na erkaemie jak na łopacie, a dusza w nim skowyczy.

Echo tego skowytu dochodzi doń i teraz nocą w porze winobrania.

Z kolei nawiedza go obraz czarny. Jest to czarny, gumowy płaszcz z pelerynką, taki, jaki nosili SA-mani. „Średniego wzrostu, krępy człowiek w czarnym gumowym płaszczu poniemieckim, widziany wiosną tego roku na peronie stacji kolejowej „Woły”. Oddalił się w kierunku miasta i wyglądał na miejscowego, ponieważ wymienił ukłon z chłopem, który przyjechał na stację końmi“.

„Stary“ opatrzył to wszystko przyjacielskim już raczej zaleceniem: „Słuchaj Władysław, to jest wyjście do, być może, bardzo poważnej historii. Pilnuj tego płaszcza tak, jakby to był gronostajowy płaszcz króla”. Czarny, gumowy płaszcz migoce jeszcze przez chwilę połyskliwie w wyobraźni komendanta Władysława. Później czarność ujednolica się, matowieje i wchłania go.

Śpi oto spokojnie człowiek, którego ciało potargane jest żelazem, którego dusza znękana jest przytłaczaniem gniewu. Tej nocy nie zadzwoni telefon.

IV

Oczy zbiegły, zwęziły się, a później powoleniu powieki ustępowały jak szczęki żelaznego potrzasku. Pan Majewski chwycił dłońmi obramowanie krzesła i zaciskał palce pragnąc bodaj ból jeszcze poczuć. Po skroniach płynęły krople potu, pot osiadł rosą na wargach drżących febrycznie. Od chwili, kiedy usłyszał za drzwiami głos, którego nie spodziewał się usłyszeć już nigdy, mózg jego zamienił się w miękką papkę. Łowił w niej z ogromnym, bezradnym wysiłkiem strzępy argumentów nie układających się w żaden ciąg.

— Pracuję w Radzie Narodowej... — powiedział.

— Cooo? — usłyszał i w tej chwili dostrzegł ruch dłoni ku wewnętrznej kieszeni marynarki, tak jakby tamten sięgał po dokumenty. Zamachał rękoma, gwałtownym ruchem rąk przekreślał gest przybysza.

— Zaraz... zaraz... — belkotał walcząc o sekundy — daj powiedzieć... Wyszedł dekret i ja twoje dolary wymienię we Wrocławiu u Szelupskiego. Bałem się w domu trzymać, a później była wasza wyspa i pieniądze rozeszły się... myślałem... — Ponieważ dłoń trwała za połą marynarki, krzyknął mocnym głosem: — Jest rada! Pomogę ci!

— Ja myślę — powiedział Józef. Dłoń niechętnie spoczęła na kolanie.

Zajaśniały wszystkie tęcze. O jakże błogosławił pan Majewski swój mózg, ten niezawodny, piękny instrument, który wrócił nagle do swej zwykłej konsystencji i zaczął funkcjonować nawet nazbyt pochopnie.

— Napływają podatki do Urzędu — powiedział tonem zwierzenia i pochylił się do przodu. Dażył teraz do wytworzenia atmosfery intymnej, do rozbicia chropawej skorupy, jaką tamten otoczył się nieprzejednanie. Gotów był uśmiechać się i przytupywać i opowiadać dowcipy, gotów był zaśpiewać lub popełnić zbrodnię w gwałtownej chęci dogodzenia tamtemu, w gwałtownej chęci utrzymania w zasięgu rąk i wzroku owoców brzoskwini i winogrodu, światła słonecznego, wszelkiego ciepła życia.

— Trzeba robić wszystko — powiedział z troską w głosie i chrząknął.

— Ja myślę — usłyszał.

— Kasjer Urzędu... wskaż ci jego dom, jest to człowiek chory i nie za bardzo on ich lubi...

— Co ty mi tutaj bajki opowiadasz... — zachnął się Józef. — „Ja mam nóż na gardle“.

— Chwileczkę... — Majewski wykonał już teraz powolny i pełen godności gest uspokojenia.

Poprawił się na krześle i milczał przez chwilę jakby urażony. W istocie zaś nawiedziła go niosąca ulgę myśl o zależności wzajemnej: „Jestem jemu potrzebny, przecież jestem jemu potrzebny. On nie tyle szuka zemsty, co pomocy“. Czuł radośnie, jak pękają i rozpadają się na nic obreże strachu dławiące serce. A jeszcze zjawiała się pomoc. Zapukała do drzwi żona.

— Wejź Zuziu — powiedział. — Czego chciałaś od nas? Czy przyniosłaś coś do zjedzenia dla naszego Józefa? Człowiek z drogi... głodny pewno. A Polak, kiedy głodny, to zły. — Syła miłkie słowa ciesząc się samą ich ilością. „Więcej słów! Więcej słów!“ — wołał w nim przyczajony strach.

Kobieta odziana po domowemu stała niezdeterminowanie przy drzwiach. Patrzyła na przybysza z miną naburmuszoną, niepewną, co przyniósł ze swej drogi do ich domu.

Wstał powoli, uściśnął lekko jej palce i skłonił się.

Utyła nieco od tamtego czasu, rozrosła się jak sute ciasto. Włosy jej wydały się Józefowi bogatsze, ich czerń rudawa goręcej zaśniła w jego oczach. Kobieta jak jesień pełna owoców.

— Dobry wieczór — powiedział — jestem głodny.

— Słyszysz Zuziu — zajągotał Majewski. — Daj jeść. Daj dużo jeść Józefowi i daj mu pić. Daj herbaty. Mocnej, gorącej herbaty. Bardzo mocnej. Uwiń się szybko, bo czas nie czeka. A Józef będzie musiał jeszcze dzisiaj wyjść na tę pluchę i ja też wyjdę...

Później wyszli, a przekonawszy się, że Bartłomieja nie ma w domu, oczekiwali go na drodze. Właściwie oczekiwali na Józefa, a Majewski włączył do wnętrza zrujnowanej szopy stojącej opodal i zwalczal na przemian pragnienie ucieczki i pragnienie zapalenia papierosa. W zwalczaniu pragnienia ucieczki dopomagały mu walnie słowa Józefa, wypowiedziane pod koniec pamiętnej rozmowy: „Ty sobie zapamiętaj, panie Majewski, że my jesteśmy jak syjamscy bracia: moje życie — twoje życie, moja śmierć — twoja śmierć. Jeśli mnie wezmą żywym, gdyby do tego doszło, to tylko dlatego, że ty razem ze mną w czapę wówczas od nich zarobisz“.

Bartłomiej dobiegł do domu. Oto znajome sztachety nowego ogrodu, które kazał w tym roku postawić, za sztachetami cienie umierającego ogrodu i własny dom z żoną wewnątrz. Przywlokł się tu na ostatnich nogach. Jest w Bartłomieju teraz tylko ogromne pragnienie snu. Tęskni do chwili, kiedy wsunie się w chłodną pościel, powoli rozgrzewając się od nierychliwego już ciepła skóry. Bartłomiej nie chce umrzeć przed progiem domu, wydaje mu się, że skoro już wejdzie do środka w obręb działania pomocnych rąk żony, pomiędzy własne sprząty i przedmioty, w zapachy tak znane, że się ich nie czuje, tak jak wyraźnie czuje się woń obcych mieszkań — że wtedy wszystko się odmieni na dobre i sercu będzie lżej. Bartłomiej jest w stanie oszołomienia podobnym do tego stanu, jaki towarzyszy maratończykom, którzy kończą bieg nie słysząc krzyku na trybunach stadionu, spostrzegając



tłumy ludzi, zieleń murawy i niebo jako jedną olbrzymią wyjąca całość i już nie wysiłkiem zatrutych mięśni o poszarpanych włóknach, ale, zda się, jedynie mocą woli pokonują przestrzeń twardą jak granit. Oto już oszklona kolorowymi szybami weranda i drzwi, które trzeba otworzyć.

— Chwileczkę... bardzo pana przepraszam, mam bardzo pilną sprawę.

Bartłomiej odwrócił się i zobaczył człowieka czynionego z mroku. Ow człowiek w wyciągniętej dłoni trzymał pistolet.

— Proszę mi wierzyć, nie mam innego wyjścia. Jestem żołnierzem ruchu oporu. Niech mi pan da klucze od biura i od kasy.

To wszystko, co mówi ten człowiek, dochodzi do świadomości Bartłomieja opornie, jest nieważkie, nie rodzi żadnych myśli poza jedną, że człowiek ten nie da mu wejść do domu, jeśli nie otrzyma pęczka kluczy spoczywających w kieszeni kurtki, i Bartłomiej sięgnął do kieszeni.

— Spokojnie z rękami — syknął tamten gwałtownie i odrzucił Bartłomieja w brzuch łufą pistoletu. — Ja sam...

Lęk o życie objął chłodem serce Bartłomieja. Czując, jak kurczy się ono do rozmiarów kłującej igielki lodowej, zapragnął wypowiedzieć słowo, dać samemu sobie własnym głosem znak życia.

— Tam nie ma pieniędzy — powiedział. — Podatki jeszcze nie wpłynęły. Po co to panu...

— Jestem w sytuacji bez wyjścia. Zaszczuty jestem, zagonili mnie. Jeśli jest w panu resztką patriotyzmu, jeśli oni nie kupili pana bez reszty, to pan powinien mi pomóc. — Czarny człowiek schował do kieszeni broń i zabierając się do odejścia dodał:

— Nie mogę wierzyć nikomu, chociaż wiemy, że jest pan człowiekiem zacnym. Sprawdzę, czy nie ma pieniędzy. Jeśli mówi pan prawdę, znajdzie pan rano klucze pod słomianką. Wrócę za trzy dni i pan wtedy da mi ponownie klucze albo da mi pan pieniądze. Wystawimy pokwitowanie, aby był pan kryty przed swoimi władzami. Od tej chwili jest pan pod naszą obserwacją. Każdy pański krok jest śledzony. Zabijemy, jeśli pan nas sypnie. Mówię najszczerzą prawdę. Nie mam nic do stracenia poza życiem, a jestem młody i chcę żyć.

Serce Bartłomieja spęcało rozpychając żebra. Dławił go ogrom serca. Zdawało mu się, że następnego przytłuwu nie wytrzyma. Wówczas powiedział tak głośno, że w ciszy nocnej zabrzmiało to jak krzyk:

— Ja też chcę żyć.

Serce z ulgą malało. Weranda była pusta. Za plecami usłyszał Bartłomieja przychrypnięty od snu głos żony.

— Czy rozmawiałeś z kimś Bartłomieju? Co się to dzieje?

— Nic. Umieram Halino.

V

Bartłomiej leżał na grzbiecie bezradny jak żółw. Wiele trudu kosztowało go trzymanie się postanowienia, które uczynił. Postanowił bowiem patrzeć w okno. Jest to czelusz pełna światła, obramowana prześwieconymi słońcem wielkimi, strzępiastymi liśćmi winorośli. Kiedy nakrywają się one nawzajem — świecą głębokim tonem ciepłej zieleni, kiedy wiszą w powietrzu pojedynczo — ich sylwetki pochłania światło, zaledwie dostrzec można wówczas ornament delikatnego żyłkowania. Z ogrodu miękkimi falami napływają zapachy jesiennie jak pożegnane pozdrowienia.

Bartłomiej stara się za wszelką cenę myśleć o skąpym, lecz pięknym widoku, jaki ma przed oczyma. Myśli o tym, że dobrze byłoby przeżyć jeszcze kilka lat wśród

tego bogactwa kształtów i barw, jakich nie skąpi natura. Grzebać w tym bogactwie, wybierać dla pamięci to, co najpiękniejsze, lub to, co zespolone z dobrymi, spokojnymi godzinami. Przeżyć jeszcze kilka lat pozostając w dobrej komitywie z ludźmi, zanim serce pęknie nie wytrzymaąc przytłuwu krwi. Tak myśli Bartłomiej, kiedy spogląda w swoje okno, ale kiedy ulegając złym wspomnieniom, rozjątrzony odwraca głowę i zerkna na pęczek kluczy leżących na szafce nocnej, uświadamia sobie, jak złudne jest jego pragnienie dobrej komitywy. Myśli jego odwracają swój bieg i Bartłomiej opanowuje głęboki żal. Myśli o tym, że nawet to najprymitywniejsze dążenie do spokojnej śmierci jest nieosiągalne w tych parszywych czasach. „Narobiliście sobie wrogów — gniewnie woła w myśli Bartłomiej, który wyobraża sobie, że mówi do czegoś, co jest syntezą władzy — ale czemu mnie to musi przeszkadzać w moim zdychaniu“. Mglisty, syntetyczny kształt władzy ucieleśnia się w jego wyobraźni i przybiera postać komendanta Władysława, tego nosorożca z gębą posępną i zatrzaśniętą na cztery spusty, nie wyrażającą nic oprócz upor.

Przyszedł doktor Szrek. Bartłomiej słuchał z radością jego głosu dudniącego w korytarzu.

— Nie umarł, Halino, no to nie umrze. Atak atakiem... niechaj się przyzwyczaja. On ma nad nami olbrzymią przewagę, Halino, on może przytyknąć do umierania, a my nie mamy tej szansy. Przyjdzie to na nas kiedyś i sfuszujemy haniebnie. A on... on tylko uśmiechnie się. Po najdłuższym gracji przeskończy na tamtą stronę pięknym, pełnym gracji susem, jak kon arabski biorący znaną przeszkodę.

Doktor Szrek wkroczył do pokoju w swym zamasytym, czarnym płaszczu, nie przylegającym do sylwetki, w surducie zapiętym wysoko na piersi, w surducie niegdyśszym, do którego przynależne były sztuczne wąskie spodnie o zeszlowiecznym kroju. Wołał od progu:

— Witaj umrzyku. No, co tam znowu! — i rozrzucił po krzesłach płaszcz, kapelusz i walizeczkę. Bartłomiej zdawał sobie jednak sprawę z tego, że doktor woła nieco ciszej niż w korytarzu i spostrzegł, że twarz jego zmroczniała, kiedy niby nie okazując zainteresowania rzucił na chorego kilka spojrzeń. W tym zmroczeniu Bartłomiej odczytał swój obraz.

Dalszy ciąg nastąpi



Znakomity rysownik angielski Paul Hogarth, aktywny członek Brytyjskiego Komitetu Obróńców Pokoju, znany jest w Polsce z serii swych rysunków, powstałych podczas dwukrotnych przyjazdów do naszego kraju.

Tym razem Paul Hogarth nie pokazuje nam swojej oryginalnej twórczości, lecz w artykule, bogato ilustrowanym, przedstawia nieznanego w Polsce i — jak stwierdza w eseju — zapomnianego niemal w swym rodzinnym kraju, bardzo wybitnego artystę-malarza i grafika angielskiego, Arthura Boyd-Houghtona, który w drugiej połowie ubiegłego stulecia budził nie małą sensację swymi rysunkami i obrazami o wybitnie postępowym i demokratycznym charakterze.

A. Boyd-Houghton był socjalistą z przeobrażeń, podzielał poglądy Mazzini'ego i Garibaldi'ego i podczas podróży po Ameryce Północnej stworzył słynny cykl „Ameryka”. W sposób realistyczny przedstawił w cyklu rysunków obraz życia i losy amerykańskiego robotnika, emigrantów z Europy i bezlitośnie tępiących Indian.



Emigranci na statku. Wśród pasażerów statków, które wiozły zawsze rodziny ze wszystkich niemal krajów w Europie z Irlandii oraz Żydzi z Polski i Czech — wszyscy

AMERYKA

Pod pokładem statku, płynącego przez Atlantyk.

Korespondencja własna „Świata” z Londynu

Napisał: PAUL HOGARTH

OKOŁO roku 1880 słynny holenderski malarz Vincent Van Gogh usiłował nawiązać obszerną korespondencję z pewnym kolegą, również artystą-malarzem. Relacje o tym, jak Van Gogh czynił usilne starania, by rozwinąć reprezentowany przez niego kierunek w sztuce, mogą być uzupełnione niezmiernie interesującymi danymi. Słyszycyście pewnej grupy malarzy, którzy dążyli w owym czasie do stworzenia sztuki o wybitnie społecznym podłożu.

Jednym z nich był Arthur Boyd-Houghton, angielski malarz i grafik. Niestety, kiedy Van Gogh zapoznał się z jego twórczością, Boyd-Houghton nie żył już od paru lat. Umarł mając zaledwie 40 lat, a jego zgon był ogromną stratą dla całego pokolenia malarzy angielskich, zwolenników realizmu w malarstwie.

Dorobek artystyczny Boyd-Houghtona jest obecnie w Anglii całkowicie niemal zapomniany.

O życiu Boyd-Houghtona wiemy niewiele. Należał do grupy malarzy twierdzących, iż podstawą, na jakiej opierają swą twórczość, jest otaczające ich życie, w przeciwstawieniu do dekadentyzmu i fałszywego romantyzmu, jakie reprezentowała Królewska Akademia. Przywódcą tej grupy był artysta-malarz Ford Maddox-Brown, socjalista i przyjaciel Mazzini'ego i Williama Morrisa.

Boyd-Houghton był w ciągu paru lat bardzo wziętym i popularnym ilustratorem i zasiliał swymi rysunkami ówczesne pisma ilustrowane. Spód jego ołówka wyszły rysunki do „Don Kichota” i „Nocy arabskich”.

W roku 1869 nawiązuje bliższe stosunki ze świeżo założonym liberalnym tygodnikiem „The Graphic” i z polecenia redakcji udaje się do Paryża i Ameryki. Rysunki, które Boyd-Houghton zebrał w cyklu pt. „Ameryka”, zwróciły na siebie uwagę Van Gogha.

„Ameryka” Boyd-Houghtona jest wstrząsającym wizerunkiem Stanów Zjednoczonych w połowie XIX stulecia. Widzimy na tych rysunkach, jak artysta istotnie zbliża się do każdego przejawu życia w kraju, który zwiedza. Odbывая podróż na statku, wiozącym emigrantów z Europy do Ameryki, artysta udaje się następnie z Nowego Jorku na Zachód. Jest świadkiem niezwykłego rozwoju gospodarczego Ameryki, jaki nastąpił po wojnie domowej w latach 1861—65.

Na rysunkach Boyd-Houghtona widzimy, jak niemal nazajutrz po walce, stoczonej przez burżuazyjną republikę z oligarchią, która opierała swe panowanie na niewolnictwie, kombatancki Zjednoczonej Armii zebrały na ulicach miast amerykańskich. Widzimy życie rodzin emigrantów, którzy porzucili miasto i getta w Europie, by rozpocząć nowe życie, wierząc, że je znajdują w Ameryce. Widzimy wyzysk Murzynów i tępienie Indian.

Rysunki pokazują nam również obyczaje i zabawy licznych narodowości, stanowiących ludność miast i prerii amerykańskich.

Cykl „Ameryka” ukazywał się w „The Graphic” każdego tygodnia, jako seria rysunków. Trwało to od maja 1870 do końca 1871 r. Kiedy w Londynie ukazały się te rysunki — wraz z towarzyszącymi im artykułami — władze w Waszyngtonie i poselstwo amerykańskie w Londynie zaprottestowały przeciwko ich publikowaniu. Przyczyna była dość oczywista: rysunki Boyd-Houghtona pomagały rozwiać panujące wówczas złudzenia, jakoby Ameryka była „krajem błogosławionym przez Boga”, w którym pomiędzy ludźmi panuje całkowita równość.

W owych czasach nasi wydawcy byli jednak ludźmi odważnymi i jako dziennikarze byli niezależni. Odpowiadali więc na napastliwe pretensje radą, by... Amerykanie raczej pilnowali własnych spraw i nie wtrącali się do cudzych. Tak właśnie postąpili wtedy wydawcy londyńskiego „The Graphic”.

Rysunki Boyd-Houghtona pozostały jako jeden z najwymowniejszych przykładów społecznie potraktowanej sztuki graficznej, służącej prawdzie.

Boyd-Houghton bowiem wierzył, że prawda jest główną podstawą sztuki i obrał łamy tygodniowego pisma jako najskuteczniejszy sposób trafienia do szerokich mas ludowych.





W latach 1860—1870 opuszczali Liverpool lub Londyn, byli to: polscy rewolucjoniści i niemieccy demokraci, republikanie szukający schronienia przed tyranią i przemocą



Polowanie na bawoły.



Indian wypędzono z ich własnej ziemi pod zarzutem uprawiania żebractwa.

Scena uliczna w Bostonie. Byli żołnierze-inwalidzi żebrzą na ulicy





Na Wiśle pojawiły się „stada” żaglówek — zwiastunek wiosny, a właściwie nawet już lata. I pomyślcie: jeszcze niedawno



Dla kobiety słowo „wiosna” oznacza to samo, co „nowa suknia”... Oto mały fragment „pokazu mody wiosennej”

WIOSNA

Fot.: JAN KOSIDOWSKI



Nad kwitnącymi zagałnikami
pachnie żywica
i wiatr wiślany wleńczy balsamy
po okolicach.

A górą płyną sosny po niebie
patrz zdumiony i na deszcz wystawiaj dłoń,
błyszczące krople łap garstkami —
ty jeszcze, synku, nie wiesz,
że to burza minęła nasz dom.

Podrosły lasy w naszej ojczyźnie
i coraz piękniej rosną
i ty, syneczku, pniesz się do góry
z młodziutką sosną.

Światelka zorzy z kropel nawistłych
w głębi żrenic nowy odnalazłszy blask
i małego przymrużone oczy
znowu zdumieniem, szczęściem błysły
parujący, srebrny chłonąc las.

Burze nadchodzą, burze przechodzą
mijają gromy i deszcze.
Rośnij syneczku. Nad naszą drogą
żywiczne płynię powietrze.

BOHDAN OSTROMĘCKI

OTO DOBRODZIEJSTWO WIOSNY: MOŻNA SIĘ WYSPAC





plynęły tędy zwały kry, a lodolamacze dzielnie broniły mostów! W tym roku po mrozach od razu przyszły upały



Spożywanie lodów na ulicy to czynność typowo wiosenna. Wymaga ona skupienia; przez zimę straciło się wprawę...



Miłość w zasadzie nie uznaje sezonów, ale wiosną jest najbardziej fotogeniczna — przekonajcie się sami

I OPALIĆ JEDNOCZEŚNIE. A WIOSENNE SŁOŃCE — JAK WIADOMO — OPALA NAJSZYBCIEJ



NA TEMATY LITERACKIE

MARIAN BRANDYS

I INNE

WIELKI SPADEK TRZEBA ZABEZPIECZYĆ

TRUDNO wyrazić, jak bezmierną stratą dla kultury polskiej była śmierć Leona Schillera. O wielkości tej straty nie dają żadnego wyobrażenia — ani odznanie, złożone na grobie Zmarłego, ani szczupły krąg ludzi, którzy Jego odejście odczuli jako zubożenie świata o wartość niepowtarzalną i trudną do zastąpienia. Wybitni teatrologowie twierdzą, że rola Leona Schillera w dziejach polskiego teatru da się porównać jedynie z rolą, jaką odegrał niegdyś Wojciech Bogusławski. Ale śmierć wielkiego artysty i reformatora ujawnia znowu odwieczny dramat ludzi teatru.

Bo kiedy umiera wielki poeta, pisarz, malarz czy rzeźbiarz — wielkość jego zachowują dla następnych pokoleń pozostałe po nim książki, obrazy i rzeźby. Natomiast spadek po wielkim twórcy teatralnym, wyrażający się w koncepcjach inscenizacyjnych i reżyserskich bądź w kreacjach aktorskich — poza wypadkami wyjątkowymi — zachowuje się tylko w pamięci ludzkiej. I wraz ze śmiercią pokolenia, które było bezpośrednim odbiorcą i świadkiem wielkiego dzieła teatralnego — samo dzieło umiera także.

Dlatego trzeba ogromnego i zorganizowanego wysiłku współczesnych, aby wielką spuściznę teatralną uchronić przed zagładą i zachować ją dla następnych pokoleń. Śmierć wielkiego reformatora polskiego teatru, Leona Schillera, winna zmobilizować społeczeństwo do podjęcia takiego wysiłku.

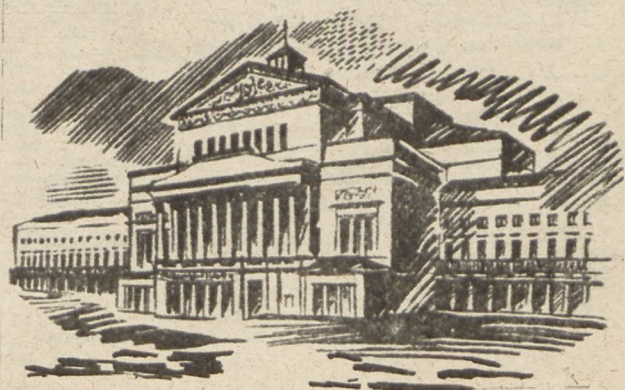
Wiem, że stworzono już specjalny komitet schillerowski, którego bezpośrednią troską jest zorganizowanie uroczystego wieczoru, poświęconego pamięci Zmarłego. Wiem, że redakcje trzech pism przygotowują specjalne numery schillerowskie. Ale wszystko to jest mało. Czynności zmierzające do uzmysłowienia narodowi wielkości Zmarłego i do zabezpieczenia Jego dzieła nie mogą się ograniczyć do uroczystości wspomnieniowych. Należy zatroszczyć się o to, aby cała spuścizna po Schillerze, a więc Jego ogromna wiedza o teatrze, Jego wielkie inscenizacje, Jego publiczne wypowiedzi i artykuły oraz tysiące anegdot, związanych z Jego osobą — zostały ujęte w pełną monografię, na której uczyć się będą pokolenia przyszłych teatrologów, inscenizatorów, reżyserów i aktorów. Opracowanie spadku schillerowskiego nie będzie tylko wyrazem holdu dla wielkiego twórcy teatralnego. Będzie to także potężny wkład w polską teatrologię.

A trzeba stwierdzić, że dotychczasowy stan teatrologii polskiej jest prawdziwie pożałowania godny. Wiedza o teatrze polskim jest przypadkowa, pełna luk i nie ujęta jeszcze w karby dyscypliny naukowej. Skutki tego są opłakane. Młodzi adepci sztuki teatralnej nie wiedzą już, kim był Aleksander Węgierko. Metody twórcze niezapomnianego Juliusza Osterwy chroni jedynie pamięć jego współpracowników i uczniów.

Pierwszą oficjalną placówką, która postawiła sobie za cel przekształcenie luźnej wiedzy o teatrze polskim w zwartą dyscyplinę naukową — jest Sekcja Teatru przy Państwowym Instytucie Sztuki, założona i prowadzona ostatnio przez Leona Schillera.

I właśnie Sekcja Teatru przy PIS powinna uznać za swe najważniejsze i najpilniejsze zadanie pracę nad uporządkowaniem i utrwaleniem spadku schillerowskiego. Opracowanie tego spadku będzie poważnym krokiem w kierunku usystematyzowania teatrologii polskiej.

Ponadto należy podjąć kroki dalsze i bardziej zdecydowane. Czas już najwyższy, aby powstała wreszcie katedra teatrologii przy Uniwersytecie Warszawskim. Powstanie takiej katedry będzie najpiękniejszym i najrozsunniejszym uczczeniem pamięci wielkiego Schillera.



Molier GRZEGORZ DYNDALA



Zdjęcia: E. Hartwig

w mieście NAD BYSTRZYCĄ

J. A. SZCZEPAŃSKI

TEAETR wcale poważny, na 600 miejsc, dwa piętra łóż, „jaskółka”, znać, że budynek co nieco omszały — remontu wymaga! — ale że ma ambicję i renomę. Na zasłuchaną widownię padają znajome słowa: „Pani miała posag, to pani miała za co kupić sobie męża, a ja, biedusia, nie miałam posagu, to mnie kupili!... Ach tak, to panna Maliczewska skarży się ostro, realistycznie, z mimowolnym sarkazmem, perkalikowa panna Maliczewska, poniewierana statystka teatralna bez talentu — z genialnej sztuki Zapolskiej, wiecznie żywej i młodej, choć dawno już na psy zesłała formacja społeczna, która gorzka, skąpa „laska” Daumów utrzymywała biedne panny Maliczewskie na powierzchni życia w obskurnym pokoiku z wynajętymi meblami. Teatr jest pełny, oklaski przechwytują co celniejsze riposty dziewczyny z bocznej ulicy, na afiszu czytamy informację: setne przedstawienie.

Czy to przedstawienie w którymś z teatrów warszawskich? A może krakowskich (lubią rywalizować z warszawskimi), łódzkich, śląskich? Długo moglibyście zgadywać. Bo rzecz nie dzieje się ani w stolicy, ani w największych centrach wojewódzkich, lecz w mieście nad rzeczką Bystrzycą, uważanym za teatralny „teren” — wstydliwie zastąpienie dawniejszego słowa „prowincja” — w Państwowym Teatrze im. Osterwy w Lublinie. A bohaterem przedstawienia jest kto? Czy tylko młody reżyser Mieczysław Górkiewicz, mający się zdobyć na parę oryginalnych chwytów inscenizacyjnych, i zdolny scenograf Jerzy Torończyk, autor stylowych ram dla tragikomedii o pannie, „o której się nie mówi”? Czy może tylko Alina Jankowska, z lirycznym wyczuciem i swobodą grająca wdzięczną, lecz jakże trudną rolę tytułową? Alno doświadczone, wierna od lat Lublinowi Eleonora Ossowska, jedna z najlepszych, z największym umiarem granych praczek Żelaznych, jakie widziałem w teatrze? Nie tylko te aktorki — i nie tylko ich koleldy i koleżanki, lepiej czy gorzej grające, ale wszyscy na pewnym, jak się to mówi, artystycznym poziomie — są bohaterami przedstawienia. Jest jeszcze ktoś czy coś, co sprawia, że „Panna Maliczewska” grana jest po raz setny w Lublinie i że sto przedstawień jednej sztuki to w Lublinie żaden wyjątek, a 80 przedstawień to reguła; jest jeszcze coś, co sprawia, że teatr lubelski dociera do miast, miasteczek i miejsco-

wości swego województwa, gdzie jak świat światem przyzwoitego teatru nie widziano i gdzie głód dobrej stawy kulturalnej jest równy prymitywności warunków, w jakich aktorom grać przychodzi. Tym czymś to rewolucja kulturalna, jeden z niezliczonych a nieodpartych przykładów na przewrót kulturalny, jaki towarzyszy naszym przemianom społecznym, jaki kroczy u ich boku.

Zapamiętajmy: w Polsce Ludowej po sto przedstawień, a w Polsce burżuazyjnej przez 7 lat w ogóle bez stałego teatru na całe województwo, nie mówiąc już o

teatralnych objazdach po powiatach. To jest właśnie rewolucja kulturalna.

Ale może poziom przedstawienia „Panny Maliczewskiej” jest w Lublinie wyjątkiem, fasadą, która przykrywa pustaki? Drugiego dnia oglądaliśmy „Młodość ojców”, piękną, rewolucyjną sztukę niedawno zmarłego Borysa Gorbatawa, oraz „Grzegorza Dyndalę”, klasyczną kamediofarsę Moliera. I znowu to samo zjawisko: widowiska są wyreżyserowane i wystawione kulturalnie. W osobie dyr. Jerzego Uklei ma Teatr im. Osterwy niewątpliwie utalentowanego inscenizatora i scenografa, który obu sztukom dał interesującą plastyczną oprawę — aktorsko pojawiają się słabe miejsca, ale w obu przedstawieniach spotykamy też bardzo dobrze rozwinięte role, jak Dyndała (Juliusz Grabowski) lub Łagunowa (Marian Nowicki); trafnie prowadzą też swoje role Halina Ziółkowska, Ilona Stawińska, Irena Miszke... Obraz ogólny jest więc dość jednoznaczny.

To oczywiście nie znaczy, że wszystko w teatrze lubelskim jest jasne, że nie popełnia on poważnych błędów, że nie doznaje dotkliwych porażek. Niektóre przedstawienia nieco kuleją — to fakt. Linia repertuarowa przebiega falisto i jeśli obejmowała ostatnio i klasykę polską (Bogusławski, Fredro, Zapolska — niebawem Rittner), i klasykę obcą (Molier), załamywała się na braku dostatecznej ilości ostrych, problemowych współczesnych sztuk polskich, jakkolwiek w ciągu lat bywały i w Lublinie prapremiery sztuk współczesnych, jak „Próby sił” Lutowskiego i „Zbiegów” Auderskiej, a ostatnio również chłopskiej środowiskowej sztuki Bratnego „Sześć godzin ciemności”. Niesłusznie tyrpano teatr za prapremię polską sztuki z klasyki czeskiej — mowa o interesującej „Laterni” Alojzego Jiraska — bo jak można mieć do Jiraska pretensje, że nie był marksistą? Ale słusznie dopomina się krytyka, by nieodległy już lubelski obchód dziesięciolecia Polski Ludowej miał w teatrze wyraz przede wszystkim za pośrednictwem sztuki, związanej tematycznie ściśle z dziesięcioleciem.

Skarżą się aktorzy lubelscy gorąco i popędliwie na obojętność, jaką im okazywały czynniki centralne, powołane do opiekowania się teatrami. Przez 9 lat przybywali do Lublina tylko rewizorzy z Warszawy, kierownicy CZ TOF nigdy się nie fatygowali. Dopiero obecny dyrektor CZ TOF, nie bacząc na tuszę, wędruje systematycznie po teatralnych folwarkach, poznał więc i okręg lubelski — witany serdecznie przez zespół, który mógł nareszcie wyzalić się w swoich

sprawach bytowych, omówić ważne problemy ideowo-artystycznej pracy teatru.

Teatr im. Osterwy jako teatr objazdowy zapuszcza się w głąb Lubelszczyzny, trafiając do takich historycznych miast, jak Chełm czy Zamość, i odwiedzając również z zapalem nowe ośrodki robotnicze. Te podróże są zawsze zaszczytną misją, ale nieraz, niestety, zmarnowanym wysiłkiem. Wtedy mianowicie, gdy przybywającym teatrem żadne czynniki kulturalno-oświatowe w danej miejscowości czy danym zakładzie pracy się nie zajmują. Sporo winy ponoszą też tutaj związki zawodowe w samym Lublinie.

Rozmowy skończone, pora wracać. Ale nie pod wrażeniem niedociągnięć, kłopotów. Oznaczają one bowiem przede wszystkim zmaganie się z trudnościami i przeważnie ich pokonywanie, a nie zator, zastój czy może odwrót. O 150 km od Warszawy, w pozornym jej cieniu, rozwija się placówka kulturalna, która ma swe coraz piękniejsze karty i która zasługuje nie tylko na życzliwość, ale i na większą niż dotychczas uwagę — nawet z warszawskich wyżyn.



Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie. „Młodość Ojców” Gorbatawa

„ANI WEFTE, ANI WEFTE”

JERZY WALDORFF

JEST taki prastary dowcip: trzem studentom — Niemcowi, Francuzowi i Polakowi — zlecono napisać rozprawkę o słońcu. Niemiec swojej dał tytuł „Słoń na tle filozofii Kanta”, Francuz — „Słoń i Jego miłostki”, zaś Polak wysmażył referat pt. „Słoń a sprawa polska”.

Od powstania owego dowcipu minął wiek, alicci usposobienie nasze w tym względzie nie uległo większym zmianom. Każde zjawisko, choćby białe, traktujemy majestatycznie i narodowo. Tak też jest z lekką piosenką i muzyką do tańca. Do niedawna najczęstszy muzykologowie nasi (bo to oni, sami nie tańcząc, decydują o tańcu) wolali ze zgrozą, że granie fokstrotu, rumbi, czy samby może przywieść ojczyznę do zguby.

Prócz omszałych muzykologów głos zabrala żywiej interesująca się tematem młodzież. W „Życiu Warszawy” ukazały się felietony A. Wróblewskiego i J. Broszkiewicza. To, co napisali, w tendencji swojej jest słuszne, lecz w argumentacji zawiera sporo ciężkich błędów, wypaczających lekki problem.

Obaj piszący szukali winnego fałszu w tańcach, ale znaleźli go jedynie w — Polskim Radio. Współpracuję z tą instytucją bardzo blisko, więc jak mało kto znam jej błędy i przy różnych okazjach wpakowałem jej także od siebie kilka tegich szpil w odpowiednie miejsca. Błędy Polskiego Radia nie upoważniają jednak do obarczania go wszystkimi, również nie popełnionymi winami.

W felietonie Broszkiewicza jest zdanie: „Na odcinku muzyki tanecznej dzieje się rzeczy, o których filozofom się nie śniło. Szczególnie zaś ile dzieje się pod tym względem w naszym Radio”. Wróblewski — aby przegwoździć tępotę formalistycznej instytucji — twierdzi, że kolegium repertuarowe Polskiego Radia tępiło w utworach tanecznych... akordy sekstowe. Gdyby Wróblewski pospierał uważniej w pamięci, to przypomniałby sobie, że nawet Polskie Radio, tępiące nowoczesną fakturę w kompozycjach tanecznych, nie nadaje bodaj ani jednego fokstrotu bez akordów sekstowych! Bo takiego fokstrotu nie można sobie wyobrazić. I gdyby za każdy słyszany z naszych głośników akord sekstowy Wróblewski miał odpokutować jednym

piegiem, to nie tylko on, ale i cała jego rodzina pokryta byłaby piegami od stóp do głów.

Co się tyczy podkreślonego przez Broszkiewicza „szczególnie złego” położenia muzyki tanecznej w Polskim Radio — trzeba stwierdzić obiektywnie, że jak się działo, tak się działo, ale działo się tylko w Radio. Do wielu aż nazbyt słusznie krytykowanych dziwołgów naszej świeżej przeszłości wypada dodać i ten, że nie mieliśmy w ogóle dobrych orkiestr tanecznych w kraju. W radiofoniach zagranicznych panuje zasada przeciwna: radio nie posiada tam własnych zespołów do tańca i ogranicza się do wybierania najlepszych spośród wielu orkiestr, grywających w różnych lokalach. U nas, gdyby nie stworzone przez Polskie Radio zespoły Cajmera i Harald, nie mielibyśmy nic.

No dobrze, a jaka ma być lekka piosenka i muzyka taneczna? — hoć przecie o tym piszemy.

Myślę, że dobra będzie wówczas, gdy przykładać będziemy do niej właściwą miarę, dyktowaną rozsądkiem. Salonowy taniec i lekka piosenka nie mogą zawierać ważkich treści politycznych. Ale jak stanowiły, tak i dalej stanowią będą element nie pozbawiony wagi w wychowaniu młodzieży. Więc najprościej chyba powiedzieć, że dobry będzie ten taniec i ta piosenka, które pobudzać będą do miłej i kulturalnej zabawy.

Broszkiewicz w swym felietonie sierzdzi się na kosmopolityczne i burżuazyjne piosenki z „fin de siecle”. A ja niedawno słyszałem przez radio koncert z sali im. Czajkowskiego w moskiewskim Konserwatorium, więc z miejsca bardzo godnego. Znakomita pieśniarka radziecka Obuchowa śpiewała lekkie piosenki z różnych krajów. Największy wszakże sukces odniosła w starym francuskim walcu „Gdy miłość kończy się”, będącym najdoskonalszym wyrazem... właśnie „fin de siecle”. Ale walc ten jest melodyjny, przyjemnie sentymentalny i dlatego słusznie śpiewała go Obuchowa i słusznie cieszyli się nim radziecy słuchacze.

Poniekiedy zwolennicy nowoczesnych tańców niechętnie wyciągają mylnych wniosków, że również chętnie słuchać będziemy

w przyszłości boogie-woogie i hot-jazzu. Rytm i melodie wywołujące gromadną historię i rozpasanie będziemy nadal zwalczać. Do rąk moich doszła w swoim czasie sensacja wydawnicza Zachodu, pamiętniki sławnego amerykańskiego muzyka jazzowego — Milтона Mezzrow, zwanego przez wielbicieli krócej — Mezzem. Oto opis jednego z bardziej udanych wieczorów jego życia:

„Nie robiłbym takiej kariery w hot-jazzie, jak robiłem, gdyby nie ten Monkey, co mnie namówił na palenie marihuany. Wygląda to jak zwykły papieros, ale wypal go tylko, a zobaczysz, jak cię weźmie! Cały świat robi się nagle wspaniały i wpadasz w szal zachwyty. Potem przynadzi ciędyś taki przeklęty dzień, że zaczynasz rzygać, wysychasz, nerwy ci nawalają i musisz jechać w kurtce z ci długiimi rękawami do szpitala dla zbliżkowanych. Ale wtedy o tym nie myślałem, a później jakoś się wyzłaziłem, choć to rzadkie.”

„Więc było raz tak, że cała orkiestra paliła marihuanę i czuła, że to się skończy jakąś ekstradacją. I rzeczywiście! Graliśmy wieczorem na palenie marihuany. Wygląda to jak zwykły papieros, ale wypal go tylko, a zobaczysz, jak cię weźmie! Cały świat robi się nagle wspaniały i wpadasz w szal zachwyty. Potem przynadzi ciędyś taki przeklęty dzień, że zaczynasz rzygać, wysychasz, nerwy ci nawalają i musisz jechać w kurtce z ci długiimi rękawami do szpitala dla zbliżkowanych. Ale wtedy o tym nie myślałem, a później jakoś się wyzłaziłem, choć to rzadkie.”

„Ale na to myśmy grali jeszcze wspanialej, a ona jeszcze bardziej wila się w konwulsjach i jeszcze głośniej krzyczała. Wszyscy byli zachwyceni i pewnie nigdy by się to nie skończyło, gdyby Mac od baru nie zaczął strzelać z pistoletu w żarówkę. Wtedy ta dziewczyna nagle zemdliała. To była zabawa!”

Jeśli chodzi o nasze pojęcia o zabawie, to nie chcemy tańczyć samych polonezów i marszów Ośrodku, ale hot-jazzu też nie chcemy. Pośrodku wrzescie znajdzie się dosyć interesujących rzeczy do tańca, w myśl świętego wiersza Minkiewicza o sambie, który kończy się tak:

Nawet gdy jest problem mały,
Niech nam słowa wejda w krew te:
Lepiej nie przeginać paty
Ani wefte, ani wefte.

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

PIERWSZOMAJOWY PODARUNEK

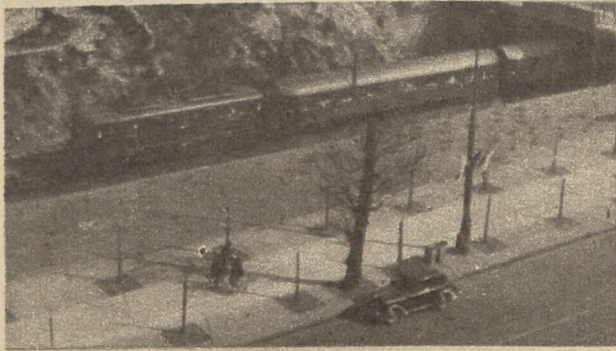
W dniu 30 kwietnia br. ukończono budowę nowego odcinka linii kolei elektrycznej Skierniewice — Koluszki. W dniu 5 maja br. linia ta została uruchomiona dla podróży.

Pierwszomajowy podarek, jakim było uruchomienie linii pociągów elektrycznych Skierniewice — Koluszki, wszyscy, a zwłaszcza dojeżdżający do pracy — przyjęli z wielką radością.

Z Koluszek już tylko 20-kilometrowy „skok” do Łodzi. Budowniczości tej trasy obiecują, że ukończona ona będzie do 1 października br. Druga linia pobiegnie wkrótce z Koluszek do Piotrkowa.

Brygady stawiające słupy wysokiego napięcia minęły już Zawiercie i znajdują się w odległości 200 km od Koluszek w kierunku Stalinogrodu.

W. Bryx, Warszawa



30 kwietnia br. wyruszył na nową trasę próbny pociąg

„POD WYKWINTNYM DORSZEM”

Gospoda PSS Nr 3 w Bystrzycy jest wzorowo prowadzona i zdobyła tytuł najlepszej tego rodzaju placówki w województwie wrocławskim. Gospoda ta pod kierownictwem ob. Michelson wykonuje plany miesięczne w 120 proc., wydaje posiłki smacznie przyrządzone i ładnie, czysto podane. W książce zażaleń w ciągu 3 lat nie

zanotowano ani jednej skargi czy bójki uwagi.

Słynie ona poza tym ze smacznych i niezwykle urozmaiconych potraw z dorsza, których personel kuchenny przyrządza aż 38 rodzajów. Stąd też zapewne pochodzi nazwa „Pod wykwinnym dorszem”, którą obdarzają konsumenci wzorową gospodę.

Z. Lenartowicz, Łódź



CENIONA I LUBIANA...

Dzięki należycie pojętej akcji coraz szerszego zatrudniania kobiet, większość pracowników Częstochowskiej Fabryki Wózków stanowią kobiety. Systematycznie przekraczają one swe normy i podnoszą kwalifikacje zawodowe.

Felicja Hagenmeister, wielokrotna przodownica pracy, odznaczona Srebrną Odznaką Przodownika Pracy, znana jest w Fabryce Wózków jako aktywistka społeczna, świetna

pracownica i dobra koleżanka. Ceniona jest i lubiana przez wszystkie towarzyski pracy.

Felicja Hagenmeister wykonuje przeciętnie 220 proc. normy, a przy tym jako dobry fachowiec pomaga w szkoleniu zawodowym pracowników fabryki.

Dyrektorem tej „kobiecy” fabryki jest zasłużona działaczka społeczna — Maria Kłaczynska.

K. Flakowicz, Częstochowa

Felicja Hagenmeister



Było piękne, słoneczne popołudnie 30 kwietnia 1954 r. Rozparci wygodnie w fotelach trolleybusu linii 55 (nr boczny 53) jechaliśmy z Maćkiem z Łazienkowskiej na Al. Niepodległości. Przeglądaliśmy nowy numer „Świata”, zaczynając oczywiście od działu „Fotokorespondenci donoszą”. Czytaliśmy właśnie notatkę o dzielnych, pracow-

tych i uprzejmych pracownikach Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, gdy trolleybus zatrzymał się na skrzyżowaniu ul. Pięknej i Pl. Konstytucji.

— Dokąd się pani pcha? — rozległ się nagle przenikliwy krzyk.

Oderwaliśmy wzrok od lektury i rozejrzeliśmy się wokół szukając osoby, która go

wydała. Była nią kobieta — kierowca trolleybusu.

— Widzisz, jaka dzielna dziewczyna — powiedział Maćka. — Pilnuje, by publiczność nie łamała przepisów i nie wchodziła przednim mostem.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, rozległa się nieśmiała prośba skarzonej pasażerki: — A może jednak wpuść mnie pani. Widzi pani, że mam dwoje małych dzieci...

— No to co? — brzmiała błyskawiczna odpowiedź. — Każdy może mieć dzieci.

— Nie pchać się pani! — rzucyli na pomoc kierowcy dwaj stojący przy wejściu

kontrolerzy. Jak mówią, że nie wolno, to nie wolno.

Trolleybus ruszył, kobieta z dwojgiem dzieci pozostała na ulicy.

Głos zabrała konduktorka: — Też pomysł, że ma dwoje dzieci, to ją już przepisy nie obowiązują.

Zamknaliśmy „Świat”, spojrzeliśmy na siebie i Maćka powiedział to, o czym myśleliśmy obaj:

— Jaka szkoda, że nie wszystkie pracowniczki MPK są takie, jak te, o których pisał ob. Wł. Szklarczyk.

Tomasz Czabanski
Fot. F. Tracz



Trolleybus linii 55 (nr boczny 53) obsługiwany przez „uprzejmą” drużynę MPK, w chwili po zejściu na pl. Konstytucji.

ROSĄ NOWE GMACHY

W dniu tegorocznego Święta Pracy główna arteria Stalinogrodu, ul. 3 Maja, zyskała piękny, nowy gmach. Fasadę tego budynku wykonała w rekordowym tempie, w ciągu 30 dni — brygada robocza Spółdzielni Pracy Sztukatorów-Modelarzy w Stalinogrodzie jako czyn 1-majowy.

W pracy wyróżnili się: St.

Mak, Fr. Talarczyk, A. Symorocki, Br. Kleć, J. Putyra, J. Jurkiewicz, W. Smełka.

Do szybkiego wykonania prac przy tym budynku przyczynił się również zespół techniczny, który systematycznie korygował harmonogram robót.

T. Rzepkiewicz, Stalinogród



Brygada Spółdzielni Pracy Sztukatorów-Modelarzy i Posadzarzy w Stalinogrodzie, która wykonała fasadę nowego budynku

NOWA SZKOŁA W RUSEWIE

W gromadzie Rusew w powiecie kaliskim powstała nowa szkoła dla dzieci chłopskich.

Przed wojną powiat kaliski miał bardzo mało szkół i wiele dzieci, zwłaszcza biedoty wiejskiej, nie mogło się u-

czyć. W niektórych wsiach z braku specjalnego budynku — lekcje odbywały się w ciasnych i niewygodnych izbach.

W latach 1945—1953 wieś kaliska otrzymała 47 nowych szkół.

Tadeusz Kaczmarek, Kalisz



Nowowyprowadzona szkoła podstawowa we wsi Rusiew posiada jasne sale wykładowe, gabinet fizyczny i przyrodniczy, świetlicę oraz obszerną bibliotekę i czytelnię

BRAK TYLKO SZKLANEK...

Mila, zgrabna poznanianka odchyliła głowę w tył, do ukamienianych warg przytknęła butelkę oranżady i pociąga łyk za łykiem. Wąziutkie strużki płynu ściekają po brodzie, plamą piasek i sukienkę...

Za ten nieestetyczny obraz nie obwiniajmy sympatycznej poznanianki, którą uchwyciło „czujne oko” aparatu fotograficznego. Nie jest to wina, że nie nalała orzeźwiającego płynu do szklanki czy kufki i nie wypita tak, jak każdy normalny człowiek.

Wina jest Spółdzielni Inwalidów „Równość” w Poznaniu, do której należą wszystkie kioski z napojami na terenie miasta. Rozumuje ona (Spółdzielnia, oczywiście) widocznie tak: „Jeżeli ktoś ma pragnienie — wypije i z butelki. Po cóż więc kupować szklanki czy kufki, kłopotać się ich myciem itd... itd...”

Kioski Spółdzielni „Równość” są dobrze zaopatrzone w napoje. Można w nich nabyć wodę sodową, lemoniadę i oranżadę, jest piwo jasne

i ciemne, „Porter”, „Krzepkie”, „Górski Zdrój”, „Grodziskie” i „Poznańskie”. Brak tylko szklanek.

A wkrótce nadejdą upały...

Tadeusz Filipczak, Poznań

...a strużki oranżady spływają na piasek.



OPERA DZIECIĘCĄ

— Jeśli będziesz grzeczny, pójdziesz na operę „Wilki i koźlęta” — przyrzeka matka ośmioletniemu synkowi.

— Hurra! W niedzielę cała klasa idzie na operę dziecięcą! — cieszą się uczennice i uczniowie V klasy.

Przygody siedmiu koźląt i przebiegłego wilka, które są treścią opery dziecięcej, wzbudzają wielkie zainteresowanie. Tym bardziej, że w operze tej występują nie jak zwykle dorośli śpiewacy, lecz dzieci i młodzież. Wilkiem na przykład jest Marian Ewart, koźlą na zmianę grają Wandzia Barlewicz i Stefia Trocha, a piekarza — Józio Szneider — (wszyscy z II klasy szkoły muzycznej).

Myśl utworzenia opery dla dzieci i granej przez dzieci — zrodziła się w Gdyni we wrześniu roku ubiegłego. Wkrótce potem przystąpiono do prób wokalnych i scenicznych opery radzieckiego autora G. Kompaniejca pt. „Wilki i koźlęta”. Widowsko, w którym występuje 60-osobowy zespół uczniów szkoły muzycznej, reżyserowała prof. Swiła. Ona też zaprojektowała piękne kostiumy, które wykonał Komitet Rodzicielski. Dekoracje projektowane



Scena zbiorowa z opery dziecięcej „Wilki i koźlęta”.

przez Br. Szulca wykonała pracownia Państwowej Opery w Gdańsku.

Opera dziecięca w Gdyni — pierwsza w kraju — jest doskonałym uzupełnieniem nauki w szkole muzycznej i świetną zabawą, rozwijającą muzyczność zarówno młodych aktorów, jak i widzów.

Eugeniusz Melech, Sopot
Fot. J. Uklejewski



Dramatyczna chwila. Wilk skrada się do chatki, w której mieszkają małe koźlęta

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

POCHWAŁA METOLU

W szwajcarskim miesięczniku fotograficznym „Camera” dr W. Andereau zamieszcza artykuł na temat przeszłości i przyszłości metolu, popularnej na całym świecie substancji wywołującej.

Metol został wypuszczony na rynek po raz pierwszy przez niemiecką firmę chemiczną J. Hauff w r. 1891. Później produkowała go również wytwórnia Agfa; dziś prawa patentowe już wygasły i metol, znany również pod innymi nazwami (genol, elon) — wyrabiany jest przez liczne fabryki chemiczne.

Smialo można twierdzić, iż 90% wszystkich stosowanych powszechnie kapelek wywołujących do filmów i papierów zawiera metol. Reduktor ten, mimo ponad 60 lat służby fotograficznej, jest nadal „młody” i wciąż wykazuje zdecydowaną przewagę nad innymi substancjami wywołującymi.

Metol jest pochodnym para-amino-fenolu. Ten ostatni produkt był już wykorzystany i sprzedawany w r. 1883 przez firmę Agfa pod nazwą Rodinalu. Wywoływał ten pozwalał na zestawienie roztworów skoncentrowanych o dużym stężeniu i dawał w pewnym stopniu wyrównanie nieregularności naświetlenia negatywów.

Metol okazał się reduktorem niezwykle energicznym, działającym powierzchniowo, a więc nadającym się specjalnie do wywoływania wyrównawczego, gdzie zależy na przerzuceniu procesu wywoływania przed końcowym etapem, w którym występuje silne zwiększenie ziarnistości. Jeżeli przerzucimy wywoływanie metolem po upływie dwóch minut, otrzymamy negatyw wprawdzie „ciemki”, ale posiadający kryte nie tylko najświeższe światła, lecz również opracowane szczegółowo w ciemności. Nie ponosimy przy tym wcale straty czułości emulsji w części zwanej progłem krzywej charakterystycznej wykresu zacierzenia emulsji.

Dziś poza metolem nie znamy wywoływacza, który by pozwolił na wykorzystanie czułości „prądu” emulsji i dawał negatywy o tak wyrównanych kontrastach.

Dawniej we wszystkich podręcznikach pisano wiele o chorobach skóry, jakie u niektórych specjalnie wrażliwych osób powodowało zetknięcie się z wywoływaczem metolowym. Dziś nie spotyka się takich wypadków, gdyż obecnie metol, produkowany w odmienny sposób, wolny jest od zanieczyszczeń, które były przyczyną zadrażnień naskórka.



Białe zagrały skoczkiem... Przez salę przeleciała fala głośniego szeptu. — To katastrofalny ruch — przekonuje jeden z kibiców sąsiada — należało bezwarunkowo zamiast skoczkiem zagrać gońcem...



— Białe zagrały skoczkiem, tak mówią w biurze prasowym. I bądź teraz mądry: dobre posunięcie, czy złe?



— Białe zagrały skoczkiem... W takiej sytuacji nie mogą przecież iść na obiad...

RUCH SKOCZKIEM

Denerwowali się nie tylko arcymistrzowie... Zakończony niedawno mecz Botwinnik — Smysłow o tytuł szachowego mistrza świata dostarczył wiele emocji setkom tysięcy kibiców w wielu krajach. Najgoręcej jednak było w moskiewskiej sali im. Czajkowskiego, gdzie osiem tygodni trwał zacięty pojedynek dwóch najlepszych na świecie szachistów. W sali, w kuluarach, przy tablicy demonstracyjnej, przed wejściem, w bufecie — po każdym posunięciu toczyły się wśród miłośników pięknej gry szachowej zacięte dyskusje. Podpatrzył je i przesłał dla „ŚWIATA” fotoreporter tygodnika „OGONIOK”, Eugeniusz Tichanow.



— Białe zagrały skoczkiem — tłumaczy przy tablicy demonstrator — i po tym posunięciu szybko przegrywają

Białe zagrały skoczkiem... — Ten ruch prowadzi do zwycięstwa — zapewnia były pretendent do tytułu mistrza świata, arcymistrz Bronszejn.



Białe zagrały skoczkiem... W parę chwil po posunięciu grupa kibiców zgromadzonych w przedsionku analizuje szczegółowo szanse Botwinnika i Smysłowa w tej trudnej partii.





CYGANERIA WARSZAWSKA 1910-1913

WSPOMNIENIA I ANEGDOTY

PO POWROCIE powiedział: — Niech się pan uspokoi. Medycyna na szczęście działa nieraz cuda. Po tych kropkach głowa pana wróciła do normalnego wymiaru. Ku zdumieniu Zaleskiego po wyjściu z gabinetu cylinder leżał na samych uszach. Tajemnica polegała na tym, że w szatni Semadeniego włożono za skórę podszewki cylindra dwie złożone gazety. Doktor wyjął więc po prostu papier z cylindra i po wszystkim.

Kiedyś Zaleski patrząc, jak budują gmach poczty na placu Napoleona, miał podobno powiedzieć:

— Idioci, pocztę budują — to się nie utrzyma, kto to dziś listy pisuje.

Nadmienić trzeba, że działo się to w okresie ciągłych plałt teatralnych. Nie wszystkie jednak teatry „plałtowały”. Wieczorne włóczęgi po kawiarniach przerywane były od czasu do czasu wypadami do teatru, cyrku lub kabaretu. Chodziło się więc do doskonałych „Rozmaitości”, do świetnej operetki na Messalkę albo też na znakomite programy kabaretu literackiego „Momus”, założonego przez Arnolda Szyfmana przy współudziale Henryka Małkowskiego, Leona Schillera, Lubelskiego, Mary Mrozińskiej, Józefiny Borowskiej, Alertowicza, Trojanowskiego, malarzy Stanisława Kuczborskiego i Edwarda Trojanowskiego oraz Jerzego Boczkowskiego. Mimo że był to lokal nocny — gdyż program zaczynał się o północy, siedział się przy stolikach — stał on pod każdym względem na bardzo wysokim poziomie. Duchowo skuzynowany z krakowskim „Zielonym Balonikiem” i paryskimi teatrykami tego typu, repertuarem swym stanowił on wierne odbicie ducha epoki: schyłkowy romantyzm, nastrojowość i melancholijny pesymizm, ratujący się wisielczym cynizmem. Typową piosenką, obrazującą charakter tego kabaretu, była słynna piosenka „Wiatr za szymbami śmieje się, psakrew, to życie takie złe, nie, już nie będę chyba pić, jutro inaczej zacznę żyć”. Albo „Dymek z papierosa”, którego ostatnia strofka brzmiała:

„Życie domek z kart, miłość głupi żart,
który tyle wart, że nie wart nawet papierosa”.

Tego rodzaju smętną historią była andrusowska „Na Czerniakowskiej” i apaszowska „Gdy ciemność zapa-

da”. Przeciwwagą tych melancholijnych westchnień były jurne i cyniczne Boyowskie piosenki dziadowskie i słynny wiersz „Kto znał panią Stefanią”.

Kiedy Szyfman odszedł do organizowania powstającego w owym okresie Teatru Polskiego, „Momus” wkrótce skończył się. Powstałe po nim „Chochlik” w Dolinie Szwajcarskiej i „Miraz” przy Marszałkowskiej, nie dorównywały już poziomem „Momusowi”. Obniżył się on i stoczył ku szmirze i pornografii. Niemniej jednak śpiewał tam znakomity Brzeziński, dowcipny Jastrzębiec i najmłodszy i ośobiście bliżej mi znany Stanisław Jerzy Kozłowski. Piosenkarz, sędzia bokserki, mistrz jazdy na wrotkach i dobrze zapowiadający się karykaturzysta w jednej osobie. Wspomniana powyżej jazda na wrotkach była krzykiem mody i odbywała się w wielkim gmachu „Scating Ringu” przy Karowej. Był to lokal chętnie odwiedzany przez tanich szykowców, początkujące kokotki i mecenasujących im starszych i zamożnych panów. Fizyczne poślizgnięcia się i upadki na Karowej otwierały nieraz nową erę w życiu niejednej „panny” z magazynu mód. Nieraz już po niecałym miesiącu skromna i nieopierzona Lodia przystaczała się w szykowną i rozbijającą się „Alejami” Lulu. O niej to śpiewano modną w owym czasie szmirę:

„Do ciebie płyną te rzewne tony
i me marzenia słodkie tuż
dla ciebie Kielman robi lakierki
Wedel cukierki, Puls zaś róż.
Karetką stoi u twych bram
chcę z tobą jechać sam na sam,
ty jednak ze mnie śmiejesz się
i wolisz z innym puszczać się”.

Obraz cyganerii artystycznej nie byłby pełny bez postaci Witolda Leonharda. Należał on niewątpliwie do szkoły Fiszera. W promieniach jego przyjaźni rósł i rozwijał się — był świetnym gawędziarzem. Postawie mu dżban wina, jakąś kaczkę po bretońsku, w ostateczności pół czarnej. Niech mówi. Przede wszystkim już sam widok jego cieszył. Niedbały, ale zawsze „wyszukany” wygląd, który się często wyrażał w jakimś drobiazgu, krawacie, koszuli czy malowniczej lacie na łokciu. Zdolny, o dużej kulturze pejzażysta — nie

grzeszący zresztą zbytnią pracowitością, łączył on w sobie zalety świetnego narratora, miłego kompana z wdziękiem dużego dziecka, zdumionego widokiem świata i głupotą ludzi. Styl jego mowy był sugestywny. Widziało się to, co opowiadał. Budowa zdań nieoczekiwana, myśli podawane skrótami telegraficznymi. Często, jak w nowoczesnym filmie, zaczynał od końca. Kiedyś przychodził do kawiarni i po przywitaniu się mówi krótko: Nie będzie, a po chwili dodaje: Nic — nie będzie...

— Czego nie będzie? — pytamy z tłumioną niecierpliwością.

— Nic nie będzie — powiada. — Ani rąk, ani nóg.

Po chwili dodaje: — Tylko głowa!

Po naleganiach wyjaśniał wreszcie, że pewien uczony snuje hipotezę na temat typu fizycznego przyszłego człowieka.

— Motoryzacja i mechanizacja doprowadzi do zaniku zbędnych organów. Pozostanie tylko głowa.

Był to jego sposób wykpiwania naukowców, których nie znosił.

— Zobaczycie — dodawał — ludzkość zginie przez wynalazki i uszczęśliwaczy świata.

Jedno z pism urządziło ankietę wśród artystów na temat dość stary i dość oklepany — kobieta. W ankiecie brały udział świetne pióra, jak Tuwim, Makuszyński, Grubiński. Leonhard — zdaniem moim — napisał najlepiej:

„Kobieta jest kobietą i z tym się trzeba pogodzić. Kobiety są albo przyjemne, albo nieprzyjemne. Najprzyjemniejsze są te, których nie znamy”.

Kiedyś kupił on okazjnie wspaniałą flanelę na spodnie. Miał genialnego — jak mówił — spodniarza. Nazywał się Burbiński, mieszkał w Jabłonninie i szył liberie dla służby hrabiów Potockich. Burbiński po wzięciu miary prosił zgłosić się za tydzień. Kiedy w umówionym terminie Leonhard zjawił się do przymiarki — Burbińskiego nie było. Modlił się w synagodzie.

— Niech pani powie mężowi — oświadczył Leonhard pani Burbińskiej — że będę za tydzień i spodnie mają być gotowe.



Kamil Witkowski z indyczką Leokadia

Po tygodniu ta sama historia, spodnie nie gotowe. Burbiński w synagodze. Leonhard czeka jeszcze tydzień. Kiedy i w następnym tygodniu nabożny krawiec modlił się w synagodze, wściekły Leonhard wyciąga go stamtąd i mówi:

— Jaki Burbiński głupi! Burbiński pewno sobie myśli, że Pan Bóg nic lepszego nie ma do roboty, tylko sprawdzać, czy Burbiński się modli, i gdy stwierdzi, że tak, to jest z tego bardzo zadowolony. Nic podobnego! Pan Bóg spojrzysz na ziemię i zawoła: Co, ten lajdak Burbiński jeszcze nie uszył spodni dla pana Leonharda?!

Po takim dictum spodnie były gotowe nazajutrz.

Kiedyś, po powrocie z Afryki, Leonhard zjawił się w cukierni i długo, entuzjastycznie opisywał warunki życia i piękno pejzażu afrykańskiego. Po paru dniach, znudzony opowiadaniem wciąż tego samego, stawał się coraz bardziej lakoniczny. Wreszcie po dwóch tygodniach, wyczerpany ciągłym powtarzaniem, powiedział

Scating Ring na Karowej



KOMU NIE W SMAK

Gaston Coblentz — korespondent „New York Herald Tribune” w Niemczech zachodnich — donosi: „Przed z górą dziewięćmioma miesiącami miejscowe władze niemieckie nakłoniły dowództwo amerykańskie w Dachau do usunięcia grupy zdjęć z wystawy urządzonej w komorze wielkiego krematorium, które to zdjęcia przedstawiały sceny z działalności hitlerowców. Między zdjęciami, które wywołały zastrzeżenia, były sceny znęcania się SS-manów nad więźniami, człowiek ginący od prądu wysokiego napięcia na ogrodzeniu obozu oraz psy SS w pościgu. Władze niemieckie oświadczyły, iż wystawa obraża dobry smak i szkodzi poprawie

stosunków międzynarodowych. Ostatecznie cała wystawa została zamknięta, a na drzwiach wywieszono tabliczkę: „Zamknięto aż do odwołania”.

Ten tekst wymaga jednak przekładu na język polski. Wystawa „obraża dobry smak” — oczywiście hitlerowców. „Szkodzi poprawie stosunków międzynarodowych” — czytają: zacieśnieniu przymierza między faszystami z Bonn i Waszyngtonu. „Zamknięto aż do odwołania”. Też jasne: wystawy już się nie otworzy — ale panowie z Bonn liczą na to, że obóz może się jeszcze przydać i pełnić swe zadanie, dla którego został założony przez Hitlera...

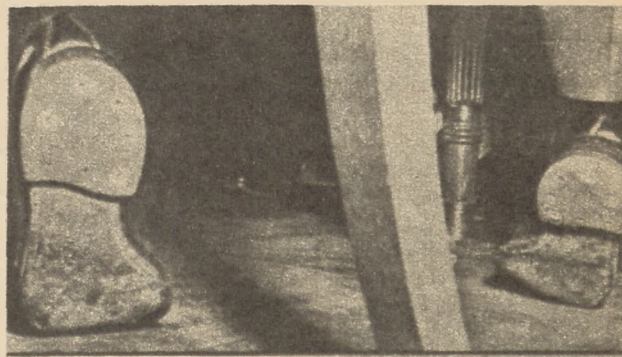


Eisenhower (pośrodku w okrągłej czapce) sam to widział



„Obrazu dobrego smaku”: zmumifikowana przez hitlerowców główka dziecka, zamordowanego w obozie koncentracyjnym.

POD PANTOFLEM



Oslawiony senator McCarthy był już fotografowany ze wszystkich chyba stron. Aby dać czytelnikom gazet amerykańskich chwilę wytchnienia od oglądania oblicza senato-

ra — fotograf „United Press” uwidocznił, jego buty. Zdjęcie to urosło do rozmiarów symbolu. Popatrzcie tylko: pod tymi butami żyją dziś Stany Zjednoczone.

ŻYCIE WYTWORNE

41-letni Otto von Habsburg, zwany (przez siebie samego) „cesarzem Ottomem”, przeniósł się ostatnio do Poeking nad Starnberger See, gdzie nabył willę zwaną „Australia”. Jego „dworzanie” powtarzają każdemu kto tylko chce słuchać, iż wybór nie był przypadkowy: z nazwy willi skreśla się dwie litery i zostaje... „Austria”. Nim jednak ten znakomity pomysł racjonalizatorski zostanie zrealizowany, „cesarz” złożył wizytę „kronprincowi” Ruprechtowi Bawarskiemu. Obaj „monarchowie” udekorowali się nawzajem wysokimi orderami własnego pomysłu i domowego wyrobu. Wiadomo, koszt niewielki — a przyjemność duża. Na naszym zdjęciu „cesarz” paraduje

z pięknym orderem na chrbcie swej kolejnej pocięty — przepraszam, chcieliśmy powiedzieć: Jej Cesarskiej Wysokości...



ARCYKANT ARCYKSIĘCIA

Nie myślcie jednak, że Otto nie ma swych kłopotów! Najbardziej oczywiście martwi się o swe ludy, a raczej o to, że one nie martwią się o niego. Poza tym ma wiele kłopotów z rodziną. Arcyksiążę Franciszek Józef Habsburg, mieszkający teraz w USA, zaskarżył arcyksiężnę Ileanę Rumuńską i jej męża arcyksięcia Antona, iż przy sprzedaży włości rodowych wykantowali go na 949.999 dola-

rów. Już, już wytargowałby tę dokładnie wyliczoną sumę, gdyby na sprawie nie wyszło na jaw, iż skarżący wysłał był list do swego brata — arcyksięcia Carlosa, pouczając go, jak ma zeznawać przed sądem. Tego już było za wiele nawet amerykańskiemu sędziemu. Pierwszą rundę wygrał na punkty Anton. Mecz trwa! Ciosy poniżej pasa (nawet wśród arcyksiążąt) stanowczo zakazane!

ŚWIĘTOSZEK (MODEL 1954)

W zachodnim Berlinie handlarz obrazów (chodzi o obrazy olejne a nie obrazy moralności) wołał opatrzyć ten akt kobiecy papierowymi naklejkami, niż narażać się pobożnemu panu Adenauerowi. Nabywca obrazu zdejmując naklejki (sporządzone w stylu Biki) i zaspokajając ciekawość. Jeżeli go jednak nie stać na zapłatę 650 marek — to po prostu udaje się do najbliższego kiosku z gazetami i tam może tanio nabyć kilogramy niefałszowanej pornografii. Bez naklejek.



Redaktor „Sowizdrzała” Nawrocki.

„Afryka? Cudownie! Pustynia, namiot, prymus. Tanie!”

Niektórzy, nasłuchawszy się zachwytów o pejzażu afrykańskim, zapytywali, czy dużo przywiózł studiów i szkiców.

— Et — odpowiadał — cóż tam będę malował: domek, drzewko, piasek — Żoliborz będę malował?

Leonhard lubił rzeczy tajemnicze. Ktoś mu poradził, że jako urodzony w lutym, powinien nosić kamień beryl — ma to przynosić szczęście. Pewnego dnia Leonhard udał się na poszukiwania tego klejnotu. Wstępował po kolei do wszystkich antykwarni, jubilerów i opowiadał długo, ze szczegółami o berylu, jego właściwościach i dlaczego musi go mieć. Niestety, kamień ten nie był łatwy do znalezienia. Po wielu godzinach bezowocnych poszukiwań, zmęczony i znużony, kiedy natrafił na jakiś sklepik jubilera czy antykwariata, uchylał drzwi i tęgim barytonem krzyczał: Beryl!

W niektórych sklepikach na Świętokrzyskiej powstała panika. Chowali się pod lady, a jeden z przerażonych kupców podniósł nawet ręce do góry.



Witold Leonhard i krawiec Burbiński

Lubił zjeść dużo i dobrze. Ze swych wędrówek po świecie przywoził nie tylko pejzaże, ale i przepisy kulinarne. Był kucharzem doskonałym. Kiedyś, na obiedzie u jednego z przyjaciół, podano przypaloną pieczeń. — Taka pieczeń, to obraza boska! — orzekła pani domu i zwała winę na kucharke.

— A od czegoż jest pani? — pyta Witold.

— Moja matka nie pozwalała mi nigdy nawet zajrzeć do kuchni — powiada z dumą obrażona dama.

— To bardzo źle, zwłaszcza dla męża pani. — A potem dodaje: — Miłość przemija, kuchnia trwa.

Kiedyś wychodząc nad ranem z jakiegoś kabaretu poszliśmy całą paczką nad Wisłę. Most Kierbedzia dudnił pod nogami śpieszących do pracy w fabrykach robociarzy. Znużony i zmęczony uprzytomniłem sobie ze szczególną jaskrawością pustkę i bezcelowość całego tego życia. Wtedy dojrzały właśnie moje ważne decyzje. Postanowiłem zmienić klimat i wkrótce wyjechałem na dalsze studia do Paryża, na studia, które już po roku brutalnie były przerwane. Wybuchła pierwsza wojna światowa.



Przysiedli się do mojego stolika w kawiarni na Placu Trzech Krzyży. Młyny mieli bardzo niewyraźne. — Mam już tego wszystkiego dość — powiedziała — to się musi wreszcie skończyć. Skinełam na kelnerkę. Zanościło się na rozmowę, której z reguły trzecia para uszu słyszeć nie powinna. Ale ona roześmiała się niespodzianie.

— Pani pomyślała, że my się kłócimy, Jasiu. Ale nie, proszę pani, to zupełnie co innego.

I oto jedno przez drugie zaczęli opowiadać o swych strapieniach. Sprawiało im widoczną ulgę, że nareszcie dzielą się tymi kłopotliwymi sprawami z osobą trzecią.

Byli od pół roku szczęśliwymi posiadaczami nowego mieszkania. Jak wiele młodych małżeństw, musieli wszystko urządzić od początku, od szafy do widelca, jak powiedzieli. Jest to jedna z większych przyjemności w życiu. Gdzież więc miejsce na kłopoty?

— Dostać mieszkanie to bagatelka w porównaniu z lataniem, jakie się potem zaczyna. Od 6 miesięcy pędzimy od jednego sklepu CHPD do drugiego i szukamy 4 jednakowych krzeseł, tak samo obitego tapczanu i dwóch foteli. Nie jest przypadkiem, że spotkaliśmy się na Placu Trzech Krzyży. Tu jest punkt neutralizacji wszystkich polujących na meble warszawiaków. Bo, jak wiadomo, w Warszawie nie kupuje się mebli — na meble się poluje.

— Chcemy, żeby było ładnie, przyjemnie, żeby nasz dom nie był składem gratów od sasa i od lasa, ale harmonijnie według naszego gustu skomponowanym wnętrzem. Okazuje się, że mowy o tym

nie ma! Konia z rzedem temu, kto znajduje w Warszawie tapczan, krzesła i fotele z tego samego drzewa i tak samo obite. Nawet w „Ładzie” są z tym wielkie trudności, nie mówiąc już o tym, że „Ład” nie prowadzi sprzedaży ratulnej, a więc dla ogromnej większości poszukujących mebli jest w ogóle niedostępny.

— Znaleźliśmy dwa bardzo ładne fotele w sklepie CPL i A w Alei Stalina. Ale krzesła nie było. Chcieliśmy zamówić. Nie można. Może nadejdą. Ale kto wie, czy do tego czasu ktoś nam znów foteli nie sprzątnie sprzed nosa. Któregoś dnia Janek dzwonił do mnie, że na Placu Unii „przyuwały” zupełnie możliwe krzesła. Zwołałam się z pracy, pędem do tramwaju i już jestem w kolejce do stolika.

— Proszę o cztery takie krzesła z obiciem rezedą. Wszystkie deklaracje podpisane, weksle już też mam.

Niestety, krzesła rezedą było tylko jedno. Drugie czerwone, trzecie fioletowe, czwarte chabrowe w żółty paseczek.

— Nie czytamy książek, nie jadamy obiadów w domu, nie zapraszamy gości. Zaraz po pracy spotykamy się i wyruszamy w pogoń za meblami i tak codziennie — może nadeszło coś nowego? A w domu od pół roku straszą dwa potamane krzesła i kilka pożyczonych od przyjaciół mebelków. Nie kupujemy firanek ani zasłon, bo nie wiemy, jaki kolor obicia „przyłapiemy”. A nuż się potem kolory będą „kłócić”. Jeszcze się nie poddajemy, jeszcze szukamy, biegamy, czekamy, ale — jak to widać z naszych min — jesteśmy zupełnie przygnębieni i bliscy rezygnacji.

Obiecałam im, że napiszę. I obietnicę dotrzymuję. Piśzę pod adresem wszystkich instytucji, mających cokolwiek wspólnego z produkcją mebli, a w szczególności pod adresem CHPD.

Wielki to wstyd, że do dnia dzisiejszego nie istnieje w stolicy ani jeden magazyn, w którym warszawiacy mogliby kupować meble, jak to się po prostu mówi, do



kompletu. Nie marzymy nawet o możliwości zamawiania mebli według naszych projektów, ale prosimy i domagamy się, by z kolekcji przedstawionych przez CHPD wzorów można było wybrać odpowiednią ilość sztuk jednakowo obitych.

Wielki to wstyd, że nikt nie zatroszczył się do dziś o to, by ludzi pracy, otrzymujących nowe, piękne mieszkania, mogli urządzić je ładnie i gustownie, zamiast, jak to się dziś z konieczności dzieje, zamieniać je na składy przypadkowo w CHPD znalezionych mebli.

Owszem, można obejrzeć na Nowogrodzkiej wzory pięknych krzeseł, foteli i innych mebli, ale, jak się okazuje, stoją one tam tylko po to, by drażnić mieszkańców stolicy. Naiwny, który wyraził chęć zakupu tych cudów, spotyka się z odpowiedzią: „Nie można, to tylko dla instytucji”.

Czyżby dyrektorzy CHPD zapomnieli, że człowiek jest przynajmniej tyle wart co „instytucja” i że jego potrzeby także należy zaspokajać?

NOWE KSIĄZKI

Na półkach księgarskich ukazały się ostatnio następujące nowe przekłady oraz wznowienia z dziedziny prozy radzieckiej:

Aleksander Serafimowicz — **ZELAZNY POTOK** (MON, str. 207, zł 10,30) — powieść stanowiąca klasyczną już pozycję literatury radzieckiej. Autorem jej jest znakomity pisarz-rewolucjonista (1863—1949). Akcja powieści toczy się w okresie walki młodej władzy radzieckiej z kontrrewolucją. Przez Kubań, ogarniętą powstaniem „białych”, przedzierają się pułk „czerwonych” pod wodzą bohatera ludowego — Kozuchę. Za wojskiem podąża wielotysięczna rzesza uchodźców. Poprzez karty powieści przeżywa się galeria mistrzowsko naszkicowanych typów proletariatu, marynarzy i chłopów.

Michał Bubiennow — **BIAŁA BRZOZA** — („Czytelnik”, tom I, II, str. 227 i 128, zł 4,80) — Masowe wznowienie powieści, opiewającej męstwo i patriotyzm żołnierza radzieckiego w latach Wielkiej Wojny Narodowej. Akcja rozpoczyna się jesienią 1941 roku. W zajętej przez hitlerowców małej wiosce Olchówce lejtnant Quejs zaprowadza „nowy ład”. W tym samym czasie Andrej Łopuchow, rodem z tejże Olchówki, walczy na przedpolach

Moskwy. W szkole wojny uczy się on nienawidzi do burzycieli życia.

Obok walorów ideowych książka odznacza się wielką wartością artystyczną. Obraz brzozy, często występujący w powieści, jest symbolem niezniszczalnego uroku ojczystego krajobrazu.

Popowkin — **RODZINA RUBANIUK** (MON, tom I—II, str. 374 i 566, zł 42,—) — Obszerna dwutomowa powieść obejmująca czas tak przedwojenny, jak i okres wojenny. Autor wprowadza nas na wstępie do jednego z kolchozów Ukrainy — rodzinnej wsi Rubaniuków. Poznajemy ojca — doświadczonego kolchoźnika, matkę — wzór rozumnej kobiety, dwóch synów — oficera Armii Radzieckiej i absolwenta studiów rolniczych. Wybuch wojny rozbił rodzinę. Poprzez walkę na froncie, w partyzantce i na tyłach wroga książka ukazuje przeżycia i konflikty osobiste każdego z członków rodziny.

Mirza Ibrahimow — **NA DEJDZIE DZIEN** (PIW, tom I—II, str. 271 i 259, zł 4,80) — wznowienie odznaczonej Nagrodą Stalinowską powieści azerbejdżańskiego pisarza. Książka porusza najbardziej aktualne problemy walki narodowo-wyzwoleńczej irańskiego Azerbejdżanu. Akcja powieści toczy się w przeddzień II wojny światowej i w początkowym jej okresie. Bohaterem powieści jest student-rewolucjonista Fridun.



POWIASTKA O OB. FAJCIOLE

Tak się nieraz w życiu składa,
że na kogoś wszystko spada...

Kto wystąpi z referatem,
kto na kurs pojedzie latem?

Kto gazetkę zredaguje,
kto jakości dopilnuje?

Wnet zebranie całe wola:
„Niech Fajciola!”... „Hej, Fajciola!”

Wybory w sportowym kole:
chcą się oprzeć na Fajciole...

Ten zaś poci się i wzdycha,
lecz nie broni się, do licha!

Myśli sobie: „Nie wypada!”...
Więc na niego wszystko spada!

On jest w radzie, on w aktywie,
na odcinku i na niwie...

Wszystko spada na Fajciolę,
życie jego niewesołe!

Obarczony nadzbyt hojnie,
inni za to śpią spokojnie!

Fajciola to człowiek miły,
lecz go wpędzą do mogiły!

W nas los jego łatwo budzi:
czyż to więcej nie ma ludzi?

A co będzie, gdy Fajciola
nagle „Do s y c — j u ś!” zawoła?!!

JAN HUSZCZ

Ileż spraw wesołych, a czasami i przykrych było treścią listów zamieszczonych w tym dziale. Ale przecież nasza korespondencja nie miała nigdy piętna beznadziei i rozpacz. Tak jak nie ma tego w naszym życiu. A oto przyszedł list od naszego rodaka z Australii, list jakże odmienny od tych, które codziennie przynosi nam poczta. Drukujemy go bez komentarzy.

„Zawdzięczając ludziom dobrej woli tu w dalekiej obczyźnie otrzymałem „Świat”. Przeczytałem go z wielkim zainteresowaniem i zadowoleniem, a zawarte w tygodniku informacje nasunęły mi myśl przesłania Wam nieco informacji o życiu i losie imigrantów-Polaków w Australii.

Na razie pisać dużo na ten temat nie będę i ograniczam się do przesłania Wam do wykorzystania paru wycinków z tutejszych gazet, które (jak sądzę) dostatecznie naświetlą Wam sytuację, w jakiej się znaleźli ci, co szukali białego chleba u Anglosasów. Najulubieńszym tematem miejscowych pism jest szkalowanie Polski, jej obecnego ustroju społeczno-politycznego.

Co do samobójstw wśród imigrantów, to wypadki te zataczają coraz szersze kręgi. Obecnie to już można nazwać epidemią lub plagą. Przyczyną tego jest sytuacja bez wyjścia imigrantów; większość z nich oddaje się nałogowemu pijaństwu i w przystępie rozstroju nerwowego popełnia samobójstwa lub ciężkie przestępstwa kryminalne, albo też idzie do domów dla umysłowo chorych.



W ciągu dość krótkiego czasu zostały zanotowane następujące wypadki:

- 1) Polak, Szuka z Cornishtoun N.S.W. spalił swój barak i popełnił samobójstwo.
- 2) Polak, Józef Pytel z miasta Perth, ciężko ranił siekierą swoją żonę i następnie popełnił samobójstwo.
- 3) Polak, Piotr Plauk z Sydney, popełnił samobójstwo — topiąc się w morzu.
- 4) Polak, Adam Kędziora z Melbourne, zarżnął nożem kochankę i sam się zasztyletował.
- 5) Polak, Józef Piekutowski z Adelaide, za zamordowanie brzytwą kochanka swej żony został skazany przez sąd na karę śmierci.
- 6) Polak, Jan Wasyluk z Adelaide, za usiłowanie zabójstwa swej żony został skazany przez sąd na 10 lat ciężkich robót.
- 7) Polak, Andrzej Hostyński z Adelaide, za zastrzelenie kochanka swej żony został skazany na karę śmierci — przebywa w domu dla obłąkanych.
- 8) Polak, Leszek Kacprzak z Sydney, za usiłowanie zabójstwa kochanki został skazany na 12 lat ciężkich robót.
- 9) Litwin, Miskinos z Adelaide, z powodu złego traktowania przez Anglików powiesił się.
- 10) Litwin, Stasiukas, z powodu braku pracy otruci się w Urzędzie Pracy w Melbourne.
- 11) Estończyk, Herold Rutel zam. w Melbourne, wymordował swoją rodzinę składającą się z 4 osób (żona, 2 nieletnich dzieci i teściowa) i sam popełnił samobójstwo.

W szpitalu dla obłąkanych w Adelaide przebywa 16 Polaków. W takimże szpitalu w Sydney obecnie znajduje się 98 umysłowo chorych imigrantów z Europy.

Jest to tragiczny i jakże wymowny rejestr nieszczęść, jakie spotkały ludzi, którzy znaleźli się w nieodpowiednich warunkach życiowych i które pchnęły ich na drogę zdrady małżeńskiej, mordu, samobójstw, obłąkania, pijaństwa i demoralizacji.

Z poważaniem Jur Głównia, Adelaide, S. A.

SWIAT

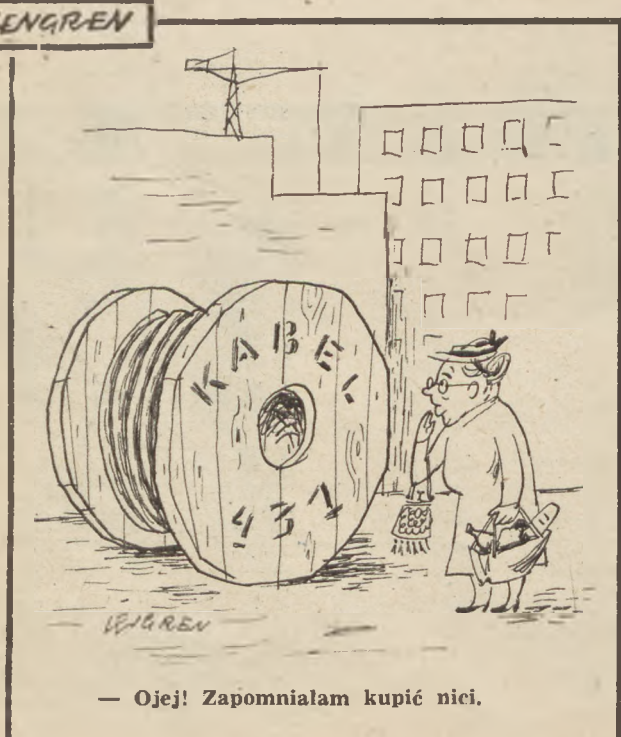
TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelnicy: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 6-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłóśdrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr. 265 Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-15274 podpisano do druku 12.V.54 r.



— Ojej! Zapomniałam kupić nici.

SZACHY

ROZWIĄZANIE KONKURSU „POPRAWIAMY ARCYMISTRZÓW”

W przedstawionych pozycjach należało grać:

I. 1... Wd2—f2! ze zdobyciem hetmana (Lundin — Smyslow, Groningen 1946). Ciekawe, że analogiczna pozycja z przeciwnymi kolorami powstała w partii Czigorin — Rubisten, Łódź 1906. Czigorin zagrał wówczas 1. Wf7 i partię wygrał. Smyslow musiał być w silnym niedo-
czasie i zapewne wskutek tego przeoczył wygrywające posunięcie.

II. 1. Hc2:g6+ z szybkim matem (Szabo — Reshevsky, Zurich 1953). Rzadki przypadek „ślepoty szachowej”!

III. 1... Wd4:e4 2. f3:e4 Sd6: e4 3. Hf2—e1 Hd8:d5 z przemożnym atakiem (Petrosjan — Gligoric, Zurich 1953).

IV. 1... Wa2—a7!! z remisem (Reshevsky — Boleslawski, Zurich 1953).

V. 1... Sf3—g1! 2. Sd7:e5 d6:e5! 3. d5—d6 f4—f3 4. Kd3—e3 f3—f2 5. Ke3:f2 Sg1:h3+ z dalszym Sf4 i Se6 (Bolesław-

ski — Keres, Moskwa 1941). Pozycja ta przysporzyła Czytelnikom największe kłopotów. VI. 1. d4—d5! He6:d5 2. Wh4—e4! Hd5—c5+ 3. Gh6—e3! Hc5—c8 4. Hh8:e3+ Hc8:e6 5. We4:e8 Wc2:g2+ 6. Kgl—f1 Kf7:e8 z dobrymi szansami na remis. Lub 1... Gb7:d5 2. Wa1—d1! g7:h6 3. Hh8:n6 Wc2:g2+ 4. Kgl—f1 Se8—g7 (Geller — Euwe, Neuhausen 1953).

NAGRODY OTRZYMUJĄ

Komplety szachów:

1. Tadeusz Matusiński, Opole, 2. Mieczysław Raczyński, Siemianowice Śląskie, 3. Marian Kleibowicz, Tarnów.

Książki szachowe:

1. Zbigniew Kaźmierski, Bolesławiec Śląski, 2. Wiesław Brodziński, Łódź, 3. Włodzimierz Michałowski, Opole, 4. Helena Puchalska, Zgorzelec, 5. Benedykt Seruś,

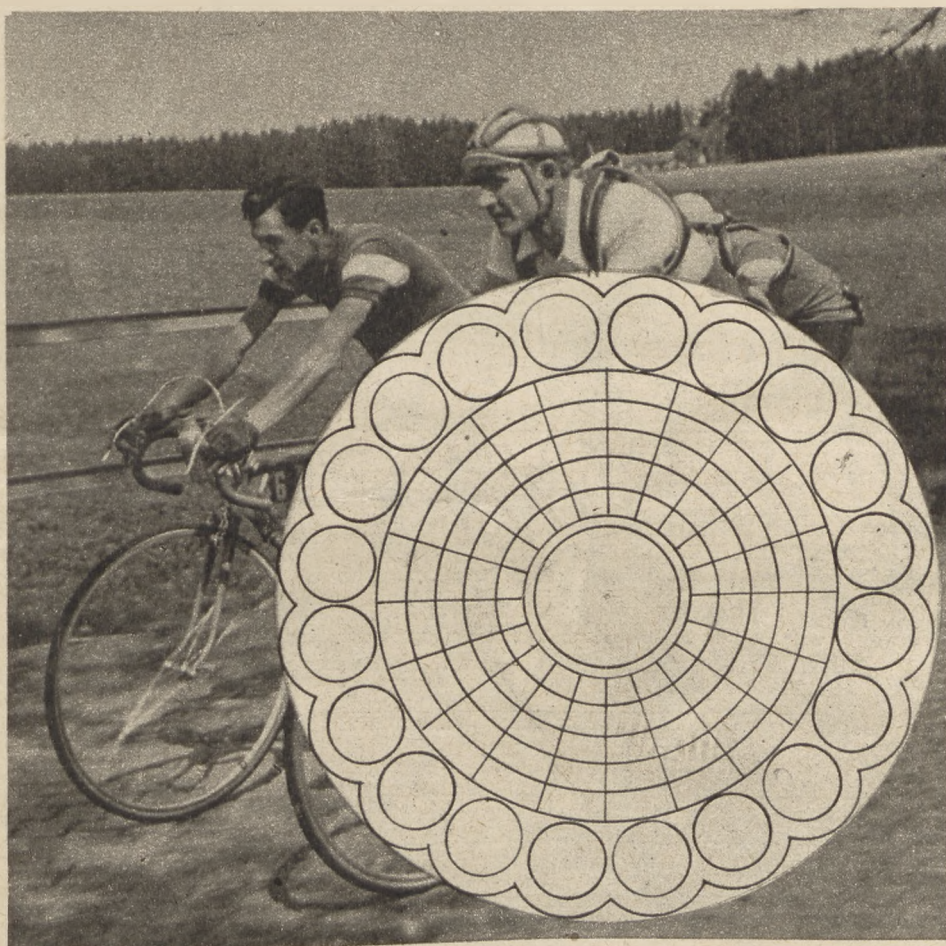
Lwówek Śląski, 6. Stanisław Pachulski, Słupsk, 7. Ernest Szweja, Siemianowice Śl.

Książki beletrystyczne:

1. Jerzy Wiktorczyk, Wrocław, 2. Zbigniew Kulesza, Toruń, 3. Zbigniew Martyniak, Kraków, 4. Eugeniusz Szymura, Gliwice, 5. Andrzej Mazur, Dębica, 6. Stanisław Maydanowicz, Płońsk, 7. Bolesław Krassowski, Gdańsk, 8. Andrzej Szabunio, Toruń, 9. Tadeusz Madziar, Warszawa, 10. Bolesław Kijas, Knurów, 11. Jadwiga Drwal, Przemyśl, 12. Stefan Siedlecki, Siedlce, 13. Kazimierz Rządek, Warszawa, 14. Bogusław Krzepisz, Warszawa, 15. Jerzy Martyniak, Gliwice, 16. Zdzisław Kornowski, Dębica, 17. Stanisław Sobolewski, Ziębice, 18. Kazimierz Sodkiewicz, Łódź, 19. Mieczysław Ziętek, Świerdowski (ZSRR), 20. Edward Suracki, Łęczna.

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

DOPEŁNIANKA



Do wewnętrznej części figury wpisać dośrodkowo 20 wyrazów pięcioliterowych o poniższych znaczeniach. Następnie przed każdym z nich dopisać taką literę, aby powstało 20 nowych sześcioliterowych wyrazów. Pierwsze litery tych nowych wyrazów, czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) W mitologii greckiej: bogini ogniska domowego, 2) Niewielki folwark, 3) Rodzaj żółtej farby, 4) Linia styku walczą-

cych oddziałów, 5) Wyspa grecka w archipelagu Sporadów, 6) Pozioma przegroda w szafie, 7) Człono, 8) Komplet kart do gry, 9) Duża jednostka wojska, 10) Krzesła monarsze (po uzupełnieniu tego wyrazu wpisać go wspak), 11) Narzędzie kowalskie do rozniecania ognia, 12) Pseudonim jednego z pierwszych bojowników i organizatorów Gwardii Ludowej, 13) Roślina drzewiasta o pniu już od dołu rozgałęzionym, krzew (nazwa ogólna), 14) Roślina o dużych owocach jadalnych, 15) Wielkość, roz-

ległość, mnóstwo, 16) Narzędzie rolnicze, 17) Dopływ Odry, 18) Drzewo iglaste okolic nadśrodiemnomorskich, 19) Doborowe towarzystwo, 20) Ubiór, szaty, odzienie.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązanie, rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 133

KRZYŻÓWKA. Poziomo: kaka — skoma — kakao, aromat — Apo — rotang, rygor — Opole — porta, Osaka — kawas — Alwar, Itaka — obiad — Arago, kobuz — kowala — wagon, sfora — order — Adana, Tatar — Opawa — orgia, anoda — Konin — marsz, cetrata — lis — saboty, astma — poeta — Natal.

Pionowo: karo — iks — taca, Arystofanes, noga — Abo — tort, amok — kur — Adam, kara — Aza — rata, stok — oko — okap, lapa — bor — po-

lo, opowiadanie, mola — ale — wist, Ares — dar — ansa, kopa — Awa — Oman, atol — rad — Raba, karw — Aga — grot, antagonist, ogar — ona — azyl.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 133 nagrody książkowe otrzymują:

1) M. Barwikowska — Gdańsk, 2) Z. Bojanowski — Opalenica, 3) J. Bratos — Radom, 4) S. Dobiecka — Jawor, 5) J. Dośla — Wejherowo, 6) A. Firczyk — Wadowice, 7) A. Jania — Jedn.

Wojsk., 8) H. Jankowski — Niemodlin, 9) N. Kienca — Szprotawa, 10) L. Kuderska — Tychy, 11) B. Luchtówna — Bydgoszcz, 12) S. Miś — Nowa Wieś Szlachecka, 13) P. Molga — Radom, 14) J. Rybakowa — Nowy Targ, 15) J. Sirembicki, Jedn. Wojsk., 16) S. Sulczyka — Szczecinek, 17) J. Superat — Bytom, 18) J. Szczerkowska — Brańin, 19) B. Smiechowicz — Tomaszów Maz., 20) M. Tobolik — Piekary.



TANIO i ŁADNIE



Wiosny w tym roku nie było — po prostu wypadła z kalendarza. Od razu z zimy wkroczyliśmy w lato — i to w lato upalne. Oczywiście — wobec tego na inwestycje letnie budżet nasz się podwyższył i możemy teraz nieco poszaleć.

Zanim jednak zaczniemy tę „oszczędność” wydawać — przypatrzmy się kilku efektownym modelom letnim:

U góry — trzy suknie. Pierwsza — z białej lub kolorowej popeliny. Druga z kretonu kwiatowego. Trzecia — z jedwabiu w barwny deseń.

Niżej — francuski model: na białej jedwabnej sukni naszyte parami małe, czerwone tarcze. Obok — bluzka o charakterze raczej wieczorowym.

U dołu suknia, która może być uszyta równie dobrze z kretonu, jak i z jedwabiu. Kołnierzyk i mankiety z białej pik. Zwróćcie uwagę na oryginalny pasek.

HUMOR WŁOSKI

